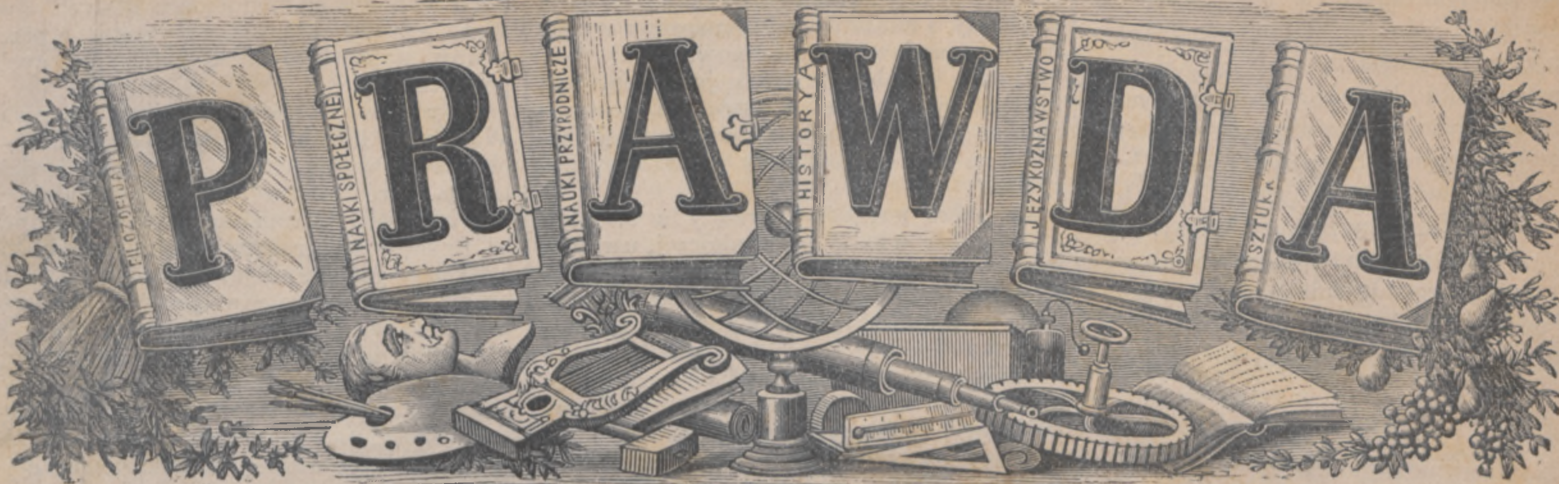
№ 1. Warszawa, dnia 5 Stycznia (24 Grudnia) 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Włodzimierska Nr. 2.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Ostatni wyraz.

Pora świąteczna wprowadza zawsze do polityki ciszę, w której milknie nawet lekki szmer dyplomatycznych kołowrotków. Tym razem już na kilka tygodni przed świętami gazetom codziennym zapadły boki z głodu i braku wiadomości ostrych lub ostro przyprawnych. Odwiedziny niemieckiego następcy tronu u papieża, chociaż wybiegły po za kres zdarzeń zwykłych, miały dość ograniczone znaczenie, wojna tonkińska serc Europy nie rozgrzewała, ani nie ziębiła, nie było więc czem krzykliwie wabić do straganów prasy politycznej. Pozostał na porządku dziennym temat ważniejszy od wszystkich odwiedzin i wypraw, mianowicie w coraz nowych postaciach objawiający się ruch społeczny, ale on zbyt powszedniał rozmiłowanemu w rozmaitości widoków ogółowi, ażeby nawet na bezrybiu mógł dla spożywców świeżej polityki stać się rybą. Nareszcie wystąpił i to w chwili i miejscu, kiedy i gdzie najmniej się go spodziewano—w jednym z kościołów wiedeńskich podczas kazania. Gdy ksiądz gorąco wysławiał stan ubóstwa, trzytysięczna ludność zaczęła gwizdać, sykać i krzyczeć: „precz z jezuitą!" Kaznodzieja umknął do zakrystyi, w kościele skutkiem zaburzenia i alarmów powstał ścisk, który udusił wiele osób. „Śledztwo podjęto niezwłocznie, kilku robotników aresztowano" — kończy telegram a publiczność, ślizgająca się po wierzchu wypadków, wierzy mu, że to „śledztwo" i kary sprawę załatwią.

Nam wszakże sprawa ta przedstawia się inaczej i daleko poważniej. Zacząwszy od encyklik papieskich a skończywszy na sensach moralnych artykułów prasy klerykalnej, słyszeliśmy uroczyste zapewnienia, że kościół, albo raczej —tylko kościół, posiada sztukę zatamowania socyalistycznych ruchów. Jakoż niektóre rządy przyzywały go do pomocy, innym on nieustannie bezsilne ramię podaje. Nie dziwimy się instytucyi, która od wieków nawykła do rozcinania wszystkich polityczno-społecznych węzłów i która dotąd żyje złudzeniami, że uwierzyła w to swoje posłannictwo; ale trudno nie zdumiewać się nad naiwnością tych mężów stanu, którzy wiele sobie obiecywali z tego sojuszu. Tak zwany „stan czwarty" poczuł już zbyt świadomie swą siłę i wyzwolił się z pod wszelkiej opieki zbyt stanowczo, ażeby mógł uledz radom lub groźbom najwymowniejszego księdza. Zresztą, cóż ten ksiądz mu powie? Czy przypomni słowa Chrystusa, że „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi dostać się do królestwa niebieskiego?" Czy jakimkolwiek wzorem lub maksymą odeprze wywody zbuntowanych? Nie, bo niepodobna przygotować lekarstw przeciw socyalizmowi z tych ziaren, z których jedna jego gałąź wyrosła. Wiadomo bowiem, że istnieje osobny socyalizm chrześciański, wyprowadzony z Nowego Zakonu i krzewiony przez duchownych. Jakim więc sposobem ta sama nauka, która zasiliła ruch, może służyć do powstrzymania go? Jeżeli więc Kościół przechwala się, że on sam jeden zdolny jest, jak Dawid, pokonać swym kamykiem socyalistycznego Goliata, objawia przez to raczej chęć odzyskania utraconej władzy, niż rzeczywistą siłę. Księża bowiem nie posiadają już dawnego wpływu na masy, a jeżeli o tem papież nie wie, przekonywa, że siedząc, jako dobrowolny więzień w Watykanie, nie widzi, co się dzieje po za jego murami. Przypuszczamy wszakże, iż go nie bałamucą tak grube pomyłki, że skargi apostolskie na szerzącą się niewiarę są wyrazem istotnej znajomości przemian, jakie się spełniły; Leon XIII przeto, zachwalając swój eliksir na wszystkie choroby wieku, czyni to po prostu z polityki, z wyrachowania, że gdy rządy i społeczeństwa nie wynajdą skutecznego środka, spróbują może jego terapii. Jak rzekliśmy, potrosze spróbowały i — zawiodły się. Między innymi dowodami świadczy właśnie awantura w Wiedniu.

Jest to fakt niezmiernie znaczący. Bo jakkolwiek dawna podległość klas niższych względem duchowieństwa bardzo osłabła, kościół pozostał może jedynem miejscem, do którego żywioły rewolucyjne swej walki nie wnosiły. Tymczasem dziś już ten ostatni przybytek neutralny został pogwałcony. Nie ulega żadnej wątpliwości, że burza, która się w nim wyładowała, spadła z chmur socyalistycznych. Przebieg jej bardzo naturalny. Ksiądz na ambonie zaleca ubóstwo, podnosi je, uświęca. Dawniej słuchacze przyjęliby jego naukę z pokorą, dziś oburzają się, krzyczą, gwiżdżą. Wszechwładny niegdyś kierownik ich sumień niema już nad niemi mocy, ani jako pogromca, ani jako nauczyciel. Słuchają go jeszcze, ale krytykują i w wypadku ostrej niezgody przekonań znieważają.

Tłomacze roszczeń papiestwa w parlamentach europejskich, zwłaszcza zaś w niemieckich, niezmordowanie zaręczają, że wszystkie klęski ludzkie pochodzą z uszczuplenia praw duchowieństwa. Nieraz zdaje się, że gdyby ono wróciło do steru, zniknęłyby nietylko waśnie społeczne, ale nawet ortograficzne. Tradycyjna cześć dla kościoła, jako świątyni, stojącej po za polem zatargów ziemskich, osłaniała ich twierdzenie pozorami prawdy. I po zajściu wiedeńskiem będą oni naturalnie snuli dalej swą pajęczynę, ale dla umysłów bezstronnych przedstawia ono poważny przeciw nim dowód. Kościół stracił urok świętości, odsłonił swą niemoc i stanął na tym samym poziomie, na którym znajdują się instytucye świeckie, zagrożone przez bunt socy[alistyczny].

Życie więc poświadczyło teoryę, zawsze wyznawaliśmy, mianowicie,

ściół nie jest trybunałem do rozstrzygania spraw ekonomicznych a jego wyroków przynajmniej jedna strona nie uzna za obowiązujące. Niezależnie od tego, ile mu ustępstw zrobi Bismark lub Ferry, musi on coraz ciaśniej zamykać się wyłącznie w sferze religijnej. Szczera czy udana jego iluzya, że ruch socyalistyczny może być zażegnany tylko przy pomocy księży, prysła w Wiedniu stanowczo, gdzie już wykrzyknięto *pereat* nie ministrowi lub przemysłowcowi, ale księdzu.

Pamiętnym będzie ostatni wyraz konającego roku.

CZY POLITYKA JEST UMIEJĘTNOŚCIĄ?

W dziennikarstwie europejskiem z końcem każdego roku lub z początkiem nowego zwyczaj każe robić przeglądy sumaryczne wypadków ubiegłej doby. Pod tym względem politycy postępują sobie przeciwnie, jak — wydawcy kalendarzów. Ci bowiem na schyłku starego lub na początku nowego roku podają czytelnikom swoim przegląd przyszłościowy — przynajmniej co do powietrza i pogody. Niedowiarki wprawdzie — a bywa ich zawsze dosyć w każdej dziedzinie umysłowego życia — naśmiewali się z tych wróżb meteorologicznych; ale niewiele dziś brak, a szala zwycięstwa przechyli się na stronę wierzących, przynajmniej co do możliwości i naukowej podstawy podobnych przepowiedni.

Dziś bowiem meteorologia już wpadła na trop praw, a wiemy, że na zasadzie spostrzeżeń codziennych, czynionych przez mnóstwo jej stacyj, rozpostartych ogromnie siecią po całej Europie, ustawicznie czytamy w gazetach naukowo uzasadnione ... co do nastąpić mających w najbliższym czasie stanów atmosfery. ...ze kilka zagadnień meteorologicznych — jak np. co do przyczyny miejscowego powstawania prądów itp. — czeka wyjaśnienia, a łatwo być może, że meteorologia obchodzić będzie tryumf wielki ...li nam podać—z podobną pewnością, jak to czyni astronomia co do obiegu i krążenia ciał niebieskich—na każdy nowy rok dokładny i naukowo wytłomaczony wykaz nastąpić mających zmian powietrza.

Dotąd nie była ona umiejętnością, jak nią nie była za czasów astrologii — astronomia; dziś jednak jest na najlepszej drodze, na której naukowy charakter pozyska.

Przykład powyższy, wzięty z rozwoju dwu gałęzi wiedzy przyrodniczej, uwalnia mnie od podawania abstrakcyjnych określeń dla umiejętności i odpowiedzi na tytułowe pytanie. Z przykładu powyższego wynika bowiem, że każda dziedzina poznania ludzkiego wtedy staje się podstawą umiejętności, skoro na zasadzie poznanych praw, rządzących pewnym szeregiem zjawisk, możemy wywnioskować dalszy ciąg tych zjawisk, mający nastąpić w bliższej lub dalszej przyszłości.

A teraz powtarzam pytanie: czy polityka jest umiejętnością? Oczywiście, że nie, bo inaczej z początkiem nowego roku politycy nie nudziliby nas przeglądem wypadków ubiegłego — co jest niewielką sztuką! — ale zaspokoiliby naszą ciekawość naukowo uzasadnionemi wróżbami na przyszłość. Ale mówmy poważnie. Polityka, t. j. nauka o życiu narodów i państw, jest dzisiaj w tym samym okresie, w jakim była meteorologia do niedawna jeszcze, w jakiem była astronomia do czasów Kopernika. Tysiące zjawisk przesuwa się przed naszemi oczami, o milionach zdarzeń i długim dziejów pasmie opowiada nam historya; ale co za sens i znaczenie tego wszystkiego, jakie prawa odwieczne rządzą tym odmian i wypadków szeregiem, według jakich reguł dzieje polityczne rozwijają się, według jakich te fakty wiecznie po sobie następują — o tem wszystkiem jeszcze nic prawie nie wiemy, choć i tu nie brakło usiłowań wyśledzenia prawidłowości. Póki pokuszenia budziły nadzieję, nazywano je z wielkim respektem „filozofią historyi;“ a kiedy bezowocność ich poznano, z wielką pogardą ochrzczono je „historyozofią.“ Nie ustały jednak, czy je czczono czy ośmieszano, różne przybierając miana: „psychologii narodów,“ „historyi naturalnej ludzkości“ itd.

Dziś owym usiłowaniom naukowym dostała się wcale trafna nazwa *socyologii*. Ona to ma zbadać przyrodnicze prawa, według których rozwija się życie narodów i państw;
ona z polityki ma zrobić u...
prowadzić nas do znajomo...
muł, według których od...
miany, stanowiące treść ...
politycznego.

„Czy umiejętność taka ...
Wszak to ludzie robią p...
obdarzeni wolną wolą, k...
takim, jutro innym humo...
to z kaprysu, to z namiętn...
ty, to znów z najrozmaitsz...
bistych — jakaż umiejętno...
prawa stałe, gdzie chwiej...
co chwila wszelkie szyki m...

Zarzuty te są pozorne. P...
woli“ jednostek, ich humor...
proces dziejowy da się ująć ...
wne reguły, można w nim ...
prawa, których żadne jedno...
potężniejsze ani o włos zmie...
prawa, którym ulegają ślep...
według których państwa po...
jają się i upadają. Umiejętn...
może niedaleką już jest od ...
ślenia tych *praw* i tych *praw*...
gia. Jeżeli ona dojdzie do p...
doskonałości, nie wątpię w...
na podstawie takich nauk...
praw postawić horoskop pol...
wo uzasadniony, co do przy...
politycznego danych państw ...

Wtedy to czytelnicy dzien...
kiem nowego roku nie będą...
przeżuwać starych opowieśc...
roztoczone przed sobą dalek...
przyszłych zdarzeń i wypadk...

Aby mnie jednak czytelni...
o żart, muszę dodać nast...
żenie.

Nie podlega wątpliwości, ...
jętność, która zbadała i zna ...
swych zjawisk, powinna tak...
w istocie z rozważania natur...
na jej polu czynników w...
przyszły owych zjawisk prze...
tylko między naukami róż...
miarów czasu, na jakie one ...
je robić mogą, i co do szczegó...
stanowić przedmiot wyracho...
meteorologia łatwo będzie m...
dzić do uzasadnionego nauko...
dania pewnych zmian powi...
ale prawdopodobnie na czas k...
niki, na których obserwacyi ...
dnie te opiera, bardzo szybko ...
i znikają; astronomia zaś wró...

STARZEC I DZIECIĘ.

I po co ty narodziłeś się?

Żyć chcę.

Żyć? Inaczej, mój maleńki, słowo to z kolebki, a inaczej z grobu. Ty je wiasz tonem nadziei, a ja — rozpa... A mój ton jest zwykłą pieśnią schoch ze świata.

Ile ludzi, tyle bogów, a każdy syn szczęśliwszym o całe doświadczenie ...a.

— Doświadczenie!... Gdybyśmy cierpieli jedynie za winy i błędy własne lub nawet za odziedziczony spadek grzechów rodzicielskich, wierzaj mi, że życie byłoby rozrywką. Ale ty musisz nieraz pokutować za to, żeś się narodził, że twoje piersi chcą oddychać tem, nie innem powietrzem, że twoje serce uderza silniej na ten a nie inny ..., że... Dziecię, nieświadome warunków ...iego istnienia, czy ty wiesz, że może ... twej skóry lub zakręty twych włosów ... dla ciebie kiedyś źródłem utra-

... postępuje a z nim wszystko, co ...em łonie.

...zekę: środkiem bieży jej nurt ... załamach stromych brzegów tworzą się wiry a po gładkich bokach nieruchome rozlewy. Tak płynie i rozwój cywilizacyi. Nie marz, że będziesz pędził z tą falą, która szybko naprzód się toczy, bo ugrzężniesz w stojącej łaszce, którą tylko powódź z głównym potokiem zlewa a zwykle ledwie czasem wiatr silniejszy jej powierzchnię pomarszczy.

— Można kręte brzegi wyprostować i wiry usunąć, można także przekopami do łachy ruch wprowadzić.

— Można? Taką niedorzeczną naiwność przebaczyć należy jedynie ludziom, którzy się dziś urodzili. Mów, że opukawszy ziemię, zbadałbyś, gdzie w niej tkwią źródła wulkanów lub zdrojów, mów, że z krzemienia wyrabiałbyś gąbki a z korka brzytwy, mów, że ze śniegu wyrzeźbiłbyś posągi a marmury wydął w balony, ale nie mów, że zawsze i wszędzie bez narażenia się na niebezpieczeństwo kij nazwiesz kijem.

— Przesadzasz, starcze, albo obrzydzasz sobie życie, ażebyś łatwiej mógł się z nim rozstać.

— O, biedne pisklę, nie przeczuwasz rozczarowań swej wiary, którą, jak wątły puch, poutracasz strzępkami, przedzierając się przez ciernie, aż dojdziesz do kresu nagi i pokaleczony. Niejeden przytem kolec oko ci rozedrze lub w serce się wbije. Mnie niczego nie żal. Jeśli cię los rzuci w głęboką otchłań i jeśli, spadaj... o jej twarde i chro...
gniesz wreszcie roztrzaskani...
dno. Taką zaś otchłanią jest ...

— Dla czegóż ludzie nie u...
tomnie i rodzą dobrowolni...
ków?

— Dlatego, że dzieci są zw...
nieprzytomnych upojeń, zw...
miętności lub lekkomyślnej i...
by w płodzeniu ich uczestnic...
człowieczy zmalałby do garst...
nych swą tłustością karmnikó...

— Bluźnisz, ojcze, mózg ci s...

— Stary mędrzec błogosła...
każdemu pozwolili pozbawi...
a nikomu — śmierci. Powtórz...
opadnie z ciebie ostatni zwój ...
czy ty znasz swoją dolę? U...
stłucz szybę twego schronieni...
przez nią na ciebie rozwście...
złodziej może ci zabrać poduszk...
swemu psu, morderca może ci...
dla zrabowania jej srebrneg...
możesz spłonąć w ogniu, zgnić...
a struny sprawiedliwości, potr...
krzykiem, nie wydadzą n...
dźwięku.

— Nad ludźmi nie czuwają j...
ale czuwają prawa.

— Dla siły gwałtu wynale...
prawa, które je tłomaczą, a nie...
by je zawsze obezwładnić mogł...
...ie dręcz mnie, przekorny ...
przestróg nawet nie ...

da na tysiące i miliony lat, bo siły i czynniki, przez nią obserwowane i za podstawę do obliczeń wzięte, są bardzo trwałe i niezmienne.

Otóż, jeżeli z góry mam zdradzić tajemnicę, to i socyologia nie będzie nigdy układała proroctw i obliczań swoich ani z dnia na dzień, ani z miesiąca na miesiąc, ani nawet z roku na rok—a zatem noworoczne horoskopy polityczne czasem nie dopiszą; niemniej jednak dojrzy ona przyszłość niezbyt daleką, weźmie bowiem za podstawę swych rachunków czynniki polityczne, mające pewną stałość, jak np. różne części składowe narodu, ich dążności naturalne, zasoby sił ich materyalnych i moralnych itd., a znając ich naturę i prawidłowe działanie obliczy dalszy przebieg procesu politycznego.

Z niedowierzaniem potrząsasz głową, czytelniku, ale proszę cię o trochę cierpliwości. Będę się starał wykazać, że polityka może być umiejętnością, że są *pewne* i *stałe* prawa, według których życie dziejowe narodów i państw się rozwija. Jeżeli zaś pozwolisz, abym cię wtajemniczył w tę nową naukę, jeżeli za moim przewodnictwem zechcesz wniknąć w tajniki socyologii, czeka cię za to wielka nagroda. Otóż od dziś za rok — a życzmy sobie nawzajem tymczasem wszelkiej pomyślności — postawisz sobie sam horoskop polityczny, a to w miarę stosunków i warunków, albo na rok następny, albo na najbliższy lat dziesiątek, albo nareszcie na lat trzydziestkę. Ale w końcu postawisz go sobie i na zasadzie naukowych prawd powiesz — *nil desperandum!*

L. Gumplowicz.

BADANIA SOCYOLOGICZNE.

Chociaż do naszego piśmiennictwa słabe tylko dochodzą odgłosy naukowych sporów, jakie się obecnie toczą w krajach bardziej oświeconych pod naciskiem mnóstwa zagadnień społecznych, to jednakże niejednemu pewnie wiadomo, że coraz bardziej tracą kredyt dawniejsze pojęcia socyologiczne, w których za nadto uwzględniano dobro pewnych jednostek, a za mało—ogółu. Pisarze angielscy, z Adamem Smithem na czele, wsławili się schlebianiem temu jednostronnemu kierunkowi, ale że ostatnimi czasy popędy społeczne człowieka z niesłychaną dotąd natarczywością i siłą zaczęły się upominać o swoje prawa i wypowiedziały walkę krwawą samolubstwu, przeto ta gałąź wiedzy, która się szczególnie zajmuje dobrobytem narodów, nauka gospodarstwa społecznego, odstrychnęła się od sobkostwa i dziś już na pierwszym planie stawia zaspokojenie potrzeb wszystkich bez wyjątku osobników a nie uprzywilejowanych jedynie, jak dotąd. Nadto, dawniejsza ekonomia nie tylko w popędach egoistycznych widziała główną podwalinę społecznego gmachu, była jeszcze oderwaną i przepisywała wszystkim państwom jedne i te same urządzenia, nie rachując się wcale z miejscowymi warunkami: tak np. domagała się zupełnej wolności handlu, podczas gdy, jak tego dowiodła praktyka i teorya naszego wieku, podobny liberalizm okazuje się częstokroć zgubnym dla państw wielu.

Dwa więc pierwiastki, niezgodne z duchem czasu, trzeba było z ekonomii politycznej usunąć: jednostkowość, i bezwzględność prawideł. Przeciwdziałanie nie dało na siebie czekać. Podjęli się go uczeni niemcy. Tak zwana szkoła historyczno-etyczna ma właśnie na celu owo pielęgnowanie dobra publicznego, któreby liczyło się z miejscowymi warunkami i przeszłością indywidualną kraju a opierało się na moralności wyższej, na jednakiej o wszystkich trosce. Ale w zapale burzenia strupieszałych części ekonomii klasycznej, zapomniano, że nie wszystko w niej na zagładę zasługuje. Przeoczono, jak wymownie dowodzi uczony austryjacki Menger w swych świeżo ogłoszonych *Badaniach nad metodą nauk społecznych* *) jedną niezmiernie ważną okoliczność, że można wynajdywać nietylko drogowskazy dla własnego narodu, ale i ogólne prawa socyologiczne dla wszystkich, byle nie stosować ich ślepo do życia, ale zmieniać o ile nie odpowiadają naturze gruntu. Prawdą jest, że dotąd mało dbano o całość zbiorową, że w sprawie pomyślności ogólnej pilniej zajmowano się techniką wytwórczości i kieszenią już zbogaconych, niż głodem i nagością wyzyskiwanych nędzarzy, ale ci, co tę surową naganę na siebie ściągnęli, głównego swojego pomysłu, wolnego współzawodnictwa, nikomu nie narzucali. Menger przekonywa licznemi cytatami, że Adam Smith nigdy nie traci z uwagi konieczności dopasowywania instytucyj społecznych do miejscowych potrzeb, to więc, czem, jako wynalazkiem swoim, tak chlubi się teraźniejsza ekonomia, nie jest bynajmniej nowością, lecz po prostu rozszerzeniem i rozwinięciem myśli, którą już i Plato i Arystoteles i Machiavelli głosili. Ci więc, którzy ryczałtowo potępiają wszystkie dotychczasowe pewniki, wpadają w drugą ostateczność: mniemają oni, że nauka gospodarstwa narodowego zupełnie wyklucza ekonomię wszechnarodową, gdy tymczasem obie mogą najzgodniej w święcie iść w parze i powinny nawet. Jak istnieje mechanika rozumowa i stosowana, tak też może istnieć ekonomia oderwana i względna, a jeśli kto pierwszą skazuje na śmierć, naraża się na błąd, jaki popełniłby mechanik, gdyby, zapomniawszy w układzie maszyny wziąć w rachubę oporu powietrza i tarcia, przeklinał mechanikę racyonalną.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Smith świadomie nie przeprowadzał granicy między tymi dwoma sposobami badania przedmiotu. Mogło mu się zdawać, że ułożył zupełny system społecznego gospodarstwa, gdy w istocie opracował tylko jego wstępną, ogólną część, ale i ta część posiada swoją niezaprzeczoną wartość.

Ponieważ wszelkiej teoryi społecznej, czy to z zakresu gospodarstwa, czy statystyki, czy polityki, służy zwykle za podstawę pewien zasadniczy pogląd na istotę społeczeństwa i objawy jego życia, przeto warto porównać zapatrywania, na których opierają się wywody starej ekonomii, z socyologicznym podkładem nowszej, tem bardziej, że nastręczają one Mengerowi sposobność do kilku krytycznych uwag. W ogóle, jedni widzą w urządzeniach i gruppach społecznych pewien rodzaj żywych organizmów i sądzą, że np. język, pieniądze, państwo, targi—są wytworem otaczających sił, kształtują się i rozwijają same, że jedyne ich źródło leży w bezwiednem, niedostrzegalnem kojarzeniu się pojedynczych, osobnikowych chęci, w bezpośredniem łączeniu osobistych interesów; inni znowu dopatrują się w narodzinach ich jakiegoś prawodawczego aktu, jakiegoś ni stąd ni z owąd wydanego dla wszystkich nakazu,

*) *Untersuchungen ueber die Methode der Socialwissenschaften und der politischen Oekonomie insbesondere.* Lipsk 1883.

Jeśli nie będę mógł zostać panem świata, zostanę jego żebrakiem—a jałmużnę mi da.

— Mylisz się—nie da. Czy sądzisz, że więcej od niego żądałem? Bynajmniej, nie pragnąłem, ażeby kapota moja była z jedwabiu, tylko żeby mi pozwolono załatać jej dziury, nie wymagałem nawet, ażeby moja torba była pełną, tylko żeby w niej leżał kawałek chleba. I tego mi odmawiano. Gdy pracowałem, oskarżano mnie, że zubożam innych, gdy śpiewałem po podwórzach pieśni, wypędzano mnie, oskarżając, że zakłócam spokój. Raz, usiadłszy przy drodze, zamyśliłem się. Ktoś podszedł, szarpnął mnie za ramię i powiedział: ostrożnie z marzeniami! — Ja spoglądam na księżyc — rzekłem. — I na księżyc tak długo patrzyć nie wolno.

— Śnisz, staruszku?

— Nie śnię, prawdę mówię... Przodkowie moi dostatnio żyli i nadużywali wszystkiego, bo nawet swej wspaniałomyślności. Dziad mój, dojrzawszy na niebie kometę, marzył przez chwilę o lepszej doli. Ale ja nie, ja nie pragnąłem więcej od jaskółki: żeby gniazdo przypiąć pod ulubioną strzechę, w powietrzu nieco much złapać i przy strudze wody się napić. Szkodnicy gniazdo tykami zdrapywali a do mnie ciągle myśliwy dla nabrania wprawy strzelał. Tak, moje dziecię, byłem w żądaniach skromny, mniej niż skromny. Ale świat nie każdemu równą z innymi przestrzeń wymierzył. Jeden może oprzeć nogi o dwa bieguny globu, a drugi musi skakać, bo mu nigdzie stanąć nie wolno.

— Czyś ty rzeczywiście pracował, ojcze?

— Tak ciężko, że przez pory mojego ciała nie pot, ale krew przeciekała. Ale wtedy krzyczano, że w morderstwie zbroczyłem ręce. Musiałem kryć się lub uciekać. Gdy sadziłem drzewka, sąsiad ostrzegał: przycinaj, niech nie podrosną zbyt wysoko!..

— Kto?

— Każdy, kto nie lubi zagajników.

— Nie rozumiem cię, starcze. Mówisz językiem zagadkowym, tajemniczym, który skrzypi w uszach, jak chrzest kości szkieletu, ale nie przekonywa.

— Zrozumiesz mnie, gdy sam umierać będziesz.

— Może — teraz nie. Teraz dziękuję ci tylko, że skargi swoje kreślisz jak czarnoksięskie znaki, dla mnie niepojęte. Gdybym je całkowicie odgadł, straciłbym nadzieję, która jest duszą dziecka.

— Zatrzymaj ją z życzeniem mojem: bodajbyś tym samym wyrazem życie zakończył, którym je zacząłś. Złudzenie daje odwagę. Najśmielej płynie przez morze ten, kto mniema, że spód okrętu jest dnem głębiny, a wiatry sznurami huśtawki. Zresztą, masz młodsze oko, więc możne nim dalej widzisz. Przede mną rozpościera się tylko mrok, rozświetlany iskrami, krzesanemi przez zgrzytające lub żrące się zęby.

— A ja dostrzegam oddalone ogniska na ziemi i gwiazdy na niebie, których promienie padają na moją drogę.

— Dostrzegasz rzeczywiście?

— Tak. Ty mi je zasłonisz, ale nie zgasisz.

— Senny lunatyku, co się tobie majaczy. To ślepie wilka lub tygrysa, czatującego na zdobycz, zabłyszczały w gęstwinie. Ha, ha, ha, świat powinien codzień zmieniać ludzi, bo noworodkom dałby szczęście. Będziesz je miał, tylko nie zapragnij niczego więcej nad to, na czem poprzestaje kamień, który nie myśli i nie czuje, który dziś znosi uderzenia przejeżdżających kół, jutro tkwi w bruku chodnika, w progu kościoła lub bóżnicy.

— Kłamiesz!

— Umieram.

— A ja żyć będę.

— Musisz, bo chcesz.

— Skonał. Naokoło słyszę jakieś przyciszone głosy: on powiedziałby, że to groźne zmowy lub szemrania, a ja przypuszczam, że to miłosne szepty. Lulu, lulu—ten świat jest piękny, lulu, lulu — świat roskoszny, lulu, lulu—świat sprawiedliwy.

Okoński.

…iejsza o to, czy wyszedł on od władzy …potycznej, czy z jednomyślnej ugody …odujących obywateli, i tych w przeciw…wieniu do pierwszych możnaby nazwać …gmatystami. Owóż szkoła angielska jest …łśnie taką. Mniema ona, chociaż może … wypowiada tego, że urządzenia gospo…cze są celowym wytworem ustaw, że …żna je stwarzać wszystkie na zawołanie. …ąd to zwodnicza myśl zaprowadzania …nich stanowczych zmian, na miejsce da…ych niby przesądów, do jakich należy … ograniczanie swobody w handlu i prze…śle; stąd owa chętka doradzania jedna…wych model gospodarczych wszystkim …rodom; stąd wreszcie uznanie dla samolub…wa jednostek i pewność, że ono samo wy… w sumie jaknajwięcej dobra powszech…go.

Ten punkt widzenia okazał się dla życia …ubnym a więc w teoryi nietrwałym, to … panował niedługo. Znakomity działacz …lityczny angielski z końca zeszłego stule…, Edmund Burke w swych *Rozmyślaniach … Rewolucyą francuzką* *) nauczał, że …ądzenia jego ojczyzny, napełniające du… wszystkich jego rodaków, powstały na …dze samodzielnego rozwoju, bez pomo…ustawodawstwa; on pierwszy zrobił wy…a w murze anglo-francuskiego racyona…nu, który w mgnieniu oka obalać chciał …estarzałe i powoływać nowe formy do …cia. Z kolei prąd przeniósł się do Nie…ec, gdzie uczony badacz rzymskiego pra… Savigny i Niebuhr, nie mniej głośny hi…ryk Rzymu, zyskali olbrzymie stronni…wo swojemu twierdzeniu, że prawo jest …jedna ze stron narodowego życia, produkt …drości nieświadomej, zbiorowej, że nie … ono bytu odrębnego, lecz jest organi…e związanem z przeszłością i współ…niejącymi warunkami. Wypływał stąd …nieczny wniosek, że świadomy rozum, …osobliwie rozum naszych czasów mało po…da zdolności do tworzenia mądrych praw …o najwięcej, może się przyczynić do ich …powszechniania.

Nie należy jednak przypuszczać, że Men…r staje po stronie uczonych, którzy nie…ł utożsamiają społeczeństwo z organi…em. Bynajmniej; pomimo całego uznania … wspaniałych zarysów w dziełach Con…a, Spencera, Schäffle'go i Lilienfelda, nie …myka on oczu na całą jałowość ich wy…łazków. A składa się na nią wiele wzglę…w. Przedewszystkiem, sama nauka o ży…, której metodę i prawa myśliciele ci …ą zaszczepić na pniu socyologii, jest …szcze w okresie niemowlęctwa prawie; …dź co bądź nie na tyle rozwiniętą i doj…łą, by z jej odkryć i sposobów docieka…a mogły bezpiecznie korzystać siostrzyce— …ne nauki. Cóż dopiero nauka o społe…eństwie, która ma do czynienia z nie…kończenie więcej złożonemi zjawiskami! …le o metodzie. Powtóre między ciałem …połecznem a, dajmy na to, ludzkiem zacho…ą pewne z góry widzialne różnice pier…szorzędnej wagi. I podział pracy jest …nich odmienny, i stopień wzajemnej za…ności członków, i czynności, i skala trwa…ści, i natura wreszcie samych składowych …ęści. Nie trzeba ufać tego rodzaju myślo…ym konstrukcyom, bo jest to po prostu …zona blaga, logiczne naciąganie; czasami …owadzi ono do śmiesznych wybryków. …lienfeld mówi o jakimś pisarzu, który …dobno nawet *pępek* znalazł na organizmie …połecznym... Menger za to jest w uogól…eniach ostrożnym, wolnym od zapału, nie …je się zręcić świetnemi porównaniami. …rzyrodoznawstwo niechaj pozostaje przy …woich, a nauka o społeczeństwie przy swo…h prawach, niechaj je ona wyprowadza … badań czysto społecznych. Pojęcie „ustro…“ w zastosowaniu do niej powinno mieć, …edług niego, tylko znaczenie językowego …atwienia, gdy chodzi o określenie samo…rodztwa i zawisłości urządzeń od otaczających warunków; podobnie jak niemniej dogodne wyrażenia: anatomia, fizyologia, patologia i inne. W tych granicach podobieństwa trzyma się niemiecka szkoła prawa — niemi też zadawalać się powinna socyologia.

Ale czy nauka gospodarstwa społecznego, którego najświeższy kierunek t. z. historyczny wykwitł na gruncie idej Burkego, Savigny'ego, należycie zrozumiał je? Na pytanie to Menger odpowiada przecząco. Ekonomiści niemieccy wpadli w rażącą jednostronność; zamiast przeszłości gospodarczych form, zajmują się historyą swej nauki, jej literaturą, jej historyozofią wreszcie, ale jak najmniej pilnują tego jej postulatu, który każe badać fakty i zadania ekonomii w związku z naturą społeczną miejsca, z psychologią mieszkańców, z ustrojem politycznym, słowem, z tem wszystkiem, co nań oddziaływa. To, co zrobili, nie odpowiada temu, co zamierzali. A najgorsze to, że przywłaszczają swemu kierunkowi monopol badania społeczeństwa, tak jak gdyby on jeden tylko mógł wzbogacać naukę i kierować życiem, jak gdyby streszczał w sobie ostateczną mądrość. Krom zagłębiania się w rzeczy minione, należy jeszcze myśleć o przyszłości, o przyspieszeniu postępu; droga doświadczenia jest zmudna, jeśli można ją skrócić oderwanemi, ogólnemi prawdami, dlaczegoż nie czynić tego?

Wspomnieliśmy na początku o zarzucie „atomizmu,“ rozdrabniania interesów społecznych, jaki czynią Smithowi i jego zwolennikom. Menger odpiera go w następujący sposób. Szkoła historyczna za pierwszy szczebel obiera sobie dobro powszechne, wyższe etyczne dążenia; wychodzi z zasady „zbiorowości“ i przez to ma dla życia olbrzymią doniosłość, ale zapomina o bardzo ważnej okoliczności: że to samo pojęcie, na którem się wspiera pojęcie o „ustrojowej“ zależności społecznych urządzeń, również daje pole do rozkładu na atomy. Jeśli utrzymujemy, że państwo lub pieniądze nie wyszły z teki prawodawcy, lecz ze stopniowego nagromadzania się osobnikowych zamiarów, pierwotnie nielicznych, a później coraz tłumniejszych, to tem samem wprowadzamy do socyologii tak piętnowany „atomizm.“ Innemi słowy—według Mengera—teraźniejsza ekonomia wpada w sprzeczność.

Na tę obronę jego wszakże zgodzić się niepodobna. Bezwątpienia można wszystko, a więc instytucye rozkładać na jednostki, toż na tem polega każda analiza; ale w obecnym wypadku, gdzie się mówi, że samolubstwo osobników jest najpewniejszą i najpotężniejszą dźwignią dobra powszechnego, analizy dopatrzeć się trudno, raczej wywód syntetyczny. „Atomizm“ może mieć swoją zasadę bytu jako metoda rozbiorowa, u angielskiego myśliciela jest on samą treścią — praktycznym nieomal wnioskiem.

N. Hirszband.

BADANIA DZIEJOWE.

Adolf Pawiński. *Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie rzeczypospolitej.* Studyum z literatury politycznej XV wieku. Warszawa, 1888, 8-a str. IV, 205.

Przechowanie najcelniejszego pomnika naszej literatury politycznej z piętnastego stulecia zawdzięczamy autorowi tak zwanych Tomicyanów, Stanisławowi Górskiemu. W ośmnastym wieku ze znalezionego w zbiorze jego traktatu Ostroroga sporządzono kilka odpisów, wydrukował nawet o nim wzmiankę bibliotekarz Załuskich, Janocki; w dziewiętnastym zaś nad charakterystycznymi pomysłami wielkopolskiego magnata poczęto zastanawiać się głębiej. Czacki zamierzał publikacyę pomnika, zamiaru jednak zaniechał; Hipolit Kownacki ogłosił w *Pamiętniku warszawskim* polski przekład pracy Ostroroga, ale drażliwsze ustępy opuścił; dopiero J. W. Bandtkie w r. 1831 tekst łaciński z tłomaczeniem — zamilczawszy przecież o swem nazwisku, o miejscu i roku wydania — światu ukazał w całości. Obawom Czackiego, Kownackiego i Bandtkiego nie można się dziwić ze względu na treść pisma, na radykalizm, z jakim autor poglądał na papieża, księży i kościół.

Nowoobranemu papieżowi nie radzi Ostroróg zapewniać posłuszeństwa „gdyż to jest niedorzecznością i z wolnością króla polskiego postępkiem wcale niezgodnym;“ wystarczy wyrażenie uszanowania, niewykluczającego napomnień i pobudzań, iżby sprawiedliwie i świątobliwie rządził kościołem Chrystusa. „Nigdy nie przystoi tak pokornie i tak uniżenie pisywać do papieża, jak gdyby monarcha w okowach i więzieniu był przez niego trzymany;“ obsadzanie beneficyów duchownych wyłącznie należeć powinno do króla; Polska, osłaniająca cywilizacyę od turków, tatarów, wołochów i Moskwy, wolną być musi od wszelkich opłat na rzecz dworu rzymskiego. „Nieustanną chytrością włochów tak daleco łudzić się dajemy, iż pod pozorem pobożności i fałszywej nauki, a raczej istotnego zabobonu, tak wielkie sumy pieniędzy do dworu, jak nazywają, rzymskiego, corocznie dozwalamy wyprowadzać w opłacie ogromnej daniny, którą sakrą czyli annatami zowią. Ilekroć w dyecezyi nowy biskup zostaje obrany, nie odbiera sakry, jak za opłatą poprzednią papieżowi w Rzymie, złożoną z kilku tysięcy czerwonych złotych, lubo święte kanony uczą, że nowoobrany biskup powinien być poświęcany i potwierdzany przez arcybiskupa i biskupów. Chytrzy i podstępni włosi przywłaszczyli sobie tę władzę, gdy my tymczasem poziewamy i zasypiamy. Wiadomo, że niemiecy i polscy panowie tylko do lat kilku stolicy apostolskiej pozwalali na wybieranie annat tym celem, aby napastnicy wiary chrześciańskiej hamowani byli i okrutny turczyn w napadach swych wstrzymany został. I to pewna, że te kilka lat wyznaczonych dawno upłynęło i że annaty wcale na inne cele, jak były przeznaczone, bywają obracane. Potrzeba więc zaprzestać tej zmyślonej pobożności, a papież nie powinien być tyranem pod płaszczykiem wiary...“ Zapobiegać należy, aby złoto i skarby kościelne nie były wyprowadzane za granicę, „co się bardzo często zdarza, ilekroć chytrością kortezanów lub zaciętością pieniaczów nietylko nagany ale i pozwy nadzwyczajne wynoszą do dworu rzymskiego. Po trzy lub cztery lat zostaje tam sprawa bez rozpoznania, niekiedy wlecze się ona nawet przez lat trzydzieści, póki jedna ze stron życia nie zakończy. Lecz gdy dwór rzymski nie bierze, podług przysłowia, owcy bez wełny, trzeba chyba być z rozumu obranym, aby nie pojmować, jak ogromne skarby wyprowadzają prawujący się, ile na tem ponosi uszczerbku królestwo, gdy za to do kraju bulle nie wiedzieć jakie bywają sprowadzane. Piękna w istocie zamiana! Wszelako nasi poczytują się za bardzo pobożnych, gdy takie bredni z czerwonemi pieczęciami i konopianemi sznurkami na drzwiach kościelnych przybite uwielbiają. Panowie polacy! nie dajcież się dłużej zwodzić przebiegłym włochom.“ „I to nie jest bez obłudy — powiada Ostroróg—że papież, kiedy mu się podoba, pomimo woli nawet króla i panów, nie wiedzieć jakie bulle, jubileuszowemi zwane, przesyła do Polski dla wydrwienia pieniędzy pod pozorem odpuszczenia grzechów, chociaż Bóg przez proroka powiedział: synu! podaj mi serce twoje! nie rzekł: daj pieniędzy! Zmyśla papież, że gotowizna, tak zbierana, ma być obracana na budowę nie wiedzieć jakiego kościoła, gdy tymczasem skarby te idą, co jest pewnem, na potrzeby prywatne krewnych i powinowatych, na

*) *Reflection on the Revolution in France* 1790.

dwór, na stajnie, że nie powiem na co gorszego. Żywe kościoły Boga, ludzie, są podstępnie łupieni na to, aby kościoły martwe wznosić. Nie zbywa nawet na tak pobożnych, którzy nie rumienią się pochwalać takie zbrodnie, a sami nawet kapłani i spowiednicy wysyłają swych pełnomocników, aby ci tem większe mogli zjednać wpływy. O jakże dajemy się zwodzić, polacy! Czas jest, abyśmy, jak frygijczykowie, choć późno zaczęli być mądrymi.“ Wyrzeka Ostroróg, że „pogrzeby, namaszczania święte, pokuty, chrzty, małżeństwa, położnic wywody, wieczerza pańska wszędzie są sprzedajne, chociaż bezpłatnie powinny się odbywać na żądanie;“ że dziesięciny składać muszą „ubodzy włościanie owym tłustym i wypasłym, z dumą je biorącym.“ Z zawodu swego robią duchowni przemysł i wyzyskują ludzi ubogich, a z drugiej strony ileż zabobonów sieją i zgorszeń. „Tylko postrzyżonym czubkiem głowy różni się duchowny od świeckiego. Aleksandra Galla, ledwie Donata może lada jak czytać ów wyniesiony na księdza przez zawdzianą sutannę tylko i postrzyżoną głowę, a chce cały świat naprawić według swoich bredni. Wrzeszczy, ba! ryczy na kazalnicy, bo nikt mu się nie przeciwi. Uczeni mężowie, panowie zamożni, nawet niższego stanu ludzie, nie lada jak oświeceni, z boleścią serca przysłuchują się bredniom tych, co naukę wiary udzielać mają, a raczej bluźnią. Co za zgorszenie, co za nieprzyzwoitość haniebna, że uczniowie uczeni, nauczyciel nieuk, słuchacze pobożni, uczący zaś bezbożny...“ „Próżniacza zaiste i bezużyteczna klasa! — wykrzykuje Ostroróg. Gdy rzeczypospolitej niemało na tem zależy, aby się nie mnożyła liczba nieużytecznych próżniaków, wypada nie tworzyć po miastach takich gromad mnichów i żaków, cudzymi dostatkami tuczących się.“ Radzi dobra zakonów podzielić, „aby wszystkie klasztory w stosunku do liczby braci życie i pokrycie miały ubogie.“ opodatkować prałatów, a w potrzebie rzeczypospolitej naczynia kościelne zabierać, jak to uczynił król Kaźmierz podczas wojny z Zakonem. Radby Ostroróg zerwać wszelkie z Rzymem stosunki, boć „mamy w królestwie biskupów, mamy arcybiskupa i zarazem prymasa; tamci niech rozpoznają sprawy, a ten niech ostatecznie wyrokuje, jeżeli tego potrzeba;“ nie wierzy w boskie pochodzenie głowy kościoła: papież według niego *„mieni się być* namiestnikiem Chrystusa.“

Poglądów tak śmiałych Czacki drukować nie śmiał. Kownacki dosadniejsze ustępy pisma opuścił, a Bandtkie bezimiennie przekład z oryginałem ogłosił. Przed niedawnemi dopiero laty dziełko Ostroroga z odchyloną przyłbicą poczęto badać i poprawniejsze wydawać teksty. Niemałe pod tym względem położył zasługi Leon Wegner i Michał Bobrzyński; wystąpił także z uwagami swojemi znany kontynuator Roepella, prof. uniwersytetu wrocławskiego, Caro. Spostrzegłszy, że Ostroróg kształcił się w uniwersytecie erfurckim, usiłował Caro działanie wpływów niemieckich na pisarza naszego wykazać, znalazł nawet wzór dla omawianego pomnika — pisemko niejakiego Reisera p. t. *Reformatio Sigismundi imperatoris*, skreślone w r. 1438. Jako członek Akademii umiejętności czytał Caro rozprawę swoją w Krakowie i ożywioną wywołał dyskusyę. Za dalszy niejako ciąg rozpraw uważać należy ogłoszoną obecnie pracę zasłużonego wydawcy źródeł historycznych i gruntownego dziejów badacza, prof. Pawińskiego.

Przy badaniu dziełka Ostroroga najcięższą stanowi trudność oznaczenie czasu jego redakcyi i tych najbliższych okoliczności, śród których powstało. Wegner podaje rok 1459, Bobrzyński, według notatki Janockiego — 1477, autor niemiecki r. 1455 lub początek 1456, prof. Pawiński przyjmuje koniec roku 1456, okoliczności zaś, towarzyszące powstaniu pisma, zaznacza inne, niż Caro. W październiku 1456 r. wystawił szlachcie król Kazimierz Jagiellończyk zobowiązanie piśmienne, że „złoży sejm walny całego królestwa wyłącznie dla naprawy, odbudowania i poprawienia królestwa i ziem swoich, dla wymiaru sprawiedliwości i zadośćuczynienia skargom, krzywdom i naprawienia wad wszelkich, zacząwszy naprawę od głowy czyli od samego majestatu, aż sięgając do pojedynczych i poddanych członków i mieszkańców wszelkiego stanu...“ W ten sam zupełnie sposób Ostroróg motywuje przyczyny nakreślenia swych uwag, co pobudza właśnie prof. Pawińskiego do przyjęcia r. 1456, jako daty powstania pisma. Z wielką subtelnością szanowny autor tezy swojej dowodzi, nie sądzimy jednak, żeby wątpliwości ostatecznie usunął. „Ponieważ do rady należę— powiada Ostroróg we wstępie — i do przezacnego Królestwa polskiego — sam słyszałem, że ma wkrótce nastąpić sejm walny...“ W innem miejscu głosi o sobie, że jest młodzianem (*juvenis*). Ze względu na młodzieńczość ową dobrze jest datę redakcyi pisma jak najbardziej wstecz cofnąć, lecz co począć, gdy Ostroróg należał do rady, do której kwalifikacye posiadł dość późno, albowiem dopiero w r. 1464 prezentuje się jako kasztelan? Wymijatę trudność autor, lokując Ostroroga, jako skończonego prawnika, w kancelaryi królewskiej do załatwiania spraw ważnych; czy jednak zajęcia kancelaryjne wystarczają, iżby młodego magnata zaliczyć do rady, z dygnitarzy tylko złożonej?

Jeżeli podana przez prof. Pawińskiego data budzi wątpliwość, za to zbicie zapatrywań niemieckiego pisarza w sprawie wpływu Reisera na naszego publicystę pod każdym względem jest świetne. Wobec znakomitej argumentacyi autora urojenia prof. Caro wyznawców chyba nie znajdą, tem bardziej, że źródło poglądów Ostroroga umiał prof. Pawiński wskazać dokładnie. Humanizm, pod wpływem którego nasz statysta zagranicą się kształcił; husytyzm, obozujący w sąsiednich Czechach; słowem nowe kierunki, nurtujące w ówczesnym świecie, urobiły poglądy Ostroroga na stosunek Polski do Rzymu, zapatrywania na układ społeczny, budowę państwa i stanowisko monarchy. W pomysłach, dotyczących sądownictwa, administracyi i zarządu skarbowego, spostrzega autor w Ostrorogu brak dojrzalszego sądu i wytrawności, przyznaje jednak, że pismo jego, „jako samoistny, nienaśladowany utwór zdolnego pióra i ukształconego umysłu zajmować będzie zawsze poczesne miejsce w rocznikach naszej oświaty.“

Gruntowna monografia prof. Pawińskiego, podająca i tekst pisma Ostroroga z przekładem, nie będzie chyba w spokoju półek księgarskich zalegać. Garnąć się ku niej powinna młodzież z obowiązku wglądania w odsłaniane przez uczonych widoki na przeszłość.

Wł. Smoleński.

ZWYKŁA I NIEZWYKŁA KSIĄŻKA.

Niema może człowieka, plamiącego sobie palce autorskim atramentem, któryby przynajmniej raz w życiu nie opisał jakiejś swojej podróży — bodaj do Puław lub Chęcin, bodaj na Bielany. Przebaczmy tę słabość wszystkim, którzy nas chcieli zająć swemi przygodami i którzy nas nie zajęli: bo jak tu się oprzeć chęci wzbogacenia literatury, jeśli dość mieć... pieniądze na bilet kolei lub statku! Dzięki tej pokusie i łatwości zaspokojenia jej zyskaliśmy bardzo liczne opisy podróży do Szwecyi, Czarnogóry, Galicyi, Suwałk, Suchedniowa itd. Ale w tym rodzaju twórczości, jak w każdym innym: siebie zadowolić łatwo, czytelników — trudno. O ile więc mamy dużo szkiców turystycznych, o tyle znakomite można przekłuć nawskroś jedną szpilką.

Konopnicka zatem napisała książkę zwykłą i niezwykłą: *Wrażenia z podróży!* Któraż, jadąca do wód z rodzicami pensyonarka cofnie się przed takiem zadaniem! Przecież pociąg przejeżdża przez wielkie miasta i wysokie góry a ludzie zagranicą odmienni i na ich rachunek zmyślać wolno. Co innego wszakże w tych samych przestrzeniach widzi przepiórka, a co innego orzeł. Poniekąd można było spodziewać się, że gdy tak potężny talent, jak Konopnickiej, skreśli swe wrażenia, będą to rysunki ładne. Tymczasem dała ona nam szereg obrazków prześlicznych, wyrównywających swą wartością listom z podróży Krasińskiego lub Słowackiego, których nawet przypomina prozą poetyczną, błyskotliwą, odurzającą. Proza ta za często powtarza swe barwy (zwykle np. „noc kładzie na czoła gwiazdę srebrną“) lub blaski), czasem rzuca się w porównania bardzo ryzykowne („noc serce nam naciąga *jako łuk* tęczowy“, ale jest świetną, żywą— błyszczy lub pachnie. Tyrolskie i włoskie krajobrazy Konopnickiej w sile i uroku przedstawienia wyrównywają szkicom Goethego. Ot wybierzmy pierwszy z brzegu: „Alpy płoną. Skalne przyciosy pławią się spodem w rozgorzałych fioletów łunie; wyższe budowania a zręby w alpejskiej zorzy stoją, jak w purpurze jasnej, a szczyty, otchnione różowo-złotych świateł tumanem, zdają się rozwiewać w czarodziejskie przezrocza jakieś... Łuny grają ci w oczach wszystkimi tonami światła. Natężają się, rosną, buchają potężnych żarów akordem, a potem mdleją i cichną, jak pieśń konająca... Dachstein. Starzec siwy i zmrożony wiecznie, a przecież w takiej chwili krew mu w żyłach krąży widocznie. Sto wieków kipiał w błękity; sto wieków trzał w szkielet granitowy; a kto liczy dni jego, odkąd w śniegach i lodach stoi i patrzy w dolinę?“ Ta sama barwistość w innych opisach.

Ale książka Konopnickiej posiada inny jeszcze przymiot wysokiego gatunku — humor. W części pierwszej (Ischl) tryska on rzadko, za to w drugiej (Wenecya— Werona—Roveredo) wylewa się obficie. „— Różnie tu bywa—rzekł do autorki pewien góral. Co do mnie — było tak. Kiedym jednego lata sam skosił łąkę i ustożył siano, dał mi ojciec starą swoją fajkę i rzekł: czas ci chłopcze żony poszukać. I wydobył ojciec nową porcelankę i zapalił ją, zapaliłem i ja, i poszliśmy do Weissenbachu, gdzie podówczas najwięcej było dziewcząt na wydaniu. Idziemy przez wieś, dziewczęta w okienkach siedzą, w progu stoją, a wdzięczą się, a śmieją, i ja się śmieję, i patrzę na nie, aż fajka wypadła mi z zębów, a ojciec precz idzie, na dziewczęta ani spojrzy, jeno po oborach pogląda. Aż dopiero pod koniec wsi jakoś zatrzymał się ojciec przed niepozornem domostwem, a wskazując palcem ogromną kupę nawozu, z której kurzyło się jak z pieca — „Hier wirst du heirathen“ (tu się ożenisz) rzekł uroczystym głosem.

— I cóż? — zapytałam ciekawie.

— A cóż! Ożeniłem się — dostałem bydła sztuk sześć — nie licząc żony.

— I jesteście szczęśliwi?

— Ha! lasem wicher tłucze, a człowiekiem dola, a ile gór widać na lewo i na prawo, każda ma czas swój taki, że we mgłach stoi.“

Konopnicka znalazła się we Włoszech roku zeszłego podczas wylewu rzek. Smutny dramat, w którym ludność uboga odegrała tragiczną rolę i nasuwające się ustawicznie widoki zniszczenia dostarczyły autorce natchnienia do szeregu ognistych kart, ale także i zabawnych przygód, które ona wyzyskała humorystycznie. Opis pobytu w zalanej Weronie jest wesołym znakomicie. W Roweredo zwiedziła kościółek

onny del Monte, któ... e były malowanymi ... cudów. Pośród tych wszystkich ludzi palących lecących w przepaść, powieszonych, jących, umarłych; pośród odrastają- rąk, głów, nosów; pośród zmartwych- łych koni, osłów i wołów, łagiew cu- nie napełniających się winem i pioru- odpędzanych jak muchy, zauważyłam małe obrazki, i te tylko pozostały mi mięci... Drugi taki: Przed starą, wy- , szpetną panną klęczy śliczny, mło- ężczyzna, z którego ust wychodzi na dze: „t'amo“ (kòcham cię). Nota podpis pod obrazem objaśnia, że a posagu nie miała... Odtąd wiara ıda, dokonywane przez Madonnę del e, jest we mnie niczem niezachwianą.“

turalnie poetce nastręczają się często wnania życia obcego z naszem, które budzają do smutnych uwag. Widząc ne dzieci w Tyrolu, powiada: „Takich onych, odętych, ciężkich w sobie dzie- kich dzieci bałwanowatych, całymi ni bezmyślnie na piasku lub nad ka- siedzących, na jakich z bólem po wio- naszych patrzyłam, tu niema wcale. widać też owych śniadych, wychudzo- w tył przegiętych dziewczątek, któ- ą zmuszone piastować mało co mniej- od nich samych Jaśka, ani tych zzia- ch, obdartych pastuszków, co to na bo- po ściernisku uganiają się za jało- ą, gęśmi albo trzodą chlewną i zale- e się gorzkiemi łzami, klną, jak sły- starszych: „a bodajżeś! a żeby was!...“ się to komu wyda śmiesznem z mojej y, ale przyznać się muszę, że miałam z serdeczną ochotę zagarnąć kupkę h rumianych, bystrych, czystych dzie- w, tak, jak to się w fartuch kurczęta nia, dać im w piersi polskie serce, ta polskie słowo i wysypać kupkę ta- którejś z naszych wiosek — ot napo- poprostu.“

oby chciał poznać bliżej wdzięki tej wyklej książki, niech ją przeczyta, zacznie — przeczyta.

H.

Z GALICYI.

Lwów, 30 grudnia 1883.

d p. Sarneckiego. — Nowości sceniczne. — i plewy. — *Niedziela.* — P. Trzecieski i ks. ka. — O pismach ludowych. — Zanik *Ziarna.*— *Przeglądu lwowskiego.* — *Ognisko domowe.* — Odpowiedź *Różowemu dominu.*

tak długo milczałem, winni są temu zód pp. Dobrzański i Sarnecki, następ- *Kuryer lwowski*, wreszcie ks. Stojałow- p. Albert Wilczyński. Zamiast bo- o dokonywujących się, chciałem wam konanych już donieść faktach; nie moja wina, gdy wspomniani panowie tak ym drepcą krokiem po arenie dziejo- . Najwięcej jeszcze spieszył się p. Sar- i, który w przeciągu jednego miesiąca l nawiązać spór z dyrektorem teatru, gnać dwugłowy symbol najwyższych mień, roztaczający skrzydła swoje opie- ze nad tutejszą urzędową gazetą, zła- pióro recenzenta scenicznego i wyje- do Paryża.

k jest, p. Sarnecki nie tylko zrzekł się lkich pretensyj do kierowania teatrem, ak go sobie obrzydził, że postanowił nie łać już więcej. *Gazeta narodowa* zarzu- nu niechęć dla obecnej dyrekcyi, ujaw- ną w jego sprawozdaniach *Gazety lwow-* od czasu, gdy powziął zamiar objęcia ownictwa sceny. P. S. uczuł się tak mie dotknięty tym zarzutem, że zło- niebawem sprawowany przez się c. k. d i mury miasta naszego opuścił, bodaj czy nie na zawsze! *Ingrata patria, neque ossa ejus habebis!...*

Wspomniałem w zeszłym liście, że zanosi się na zmianę kierownictwa sceny naszej; nie dawałem jednak wiary, aby do tego przyszło, zwłaszcza zaś, iżby teatr oddano wymienionym w pogłoskach osobom.

W dramatycznym repertuarze mam do zapisania kilka nowości „oryginalnych,“ jak się teraz mówić zwykło o utworach polskich dramaturgów. Pierwszeństwo daję *Malekowi*, tragedyi sędziwego pieśniarza, Karola Brzozowskiego, który przebywa pośród nas od kilku już miesięcy. *Malek* nie był pierwotnie przeznaczony dla sceny, później dopiero został przerobiony odpowiednio. Osnuty na tle historyi tatarów krymskich, po ich przesiedleniu już do gubernii wołogodzkiej — posiada znaczenie i tendencyę dla szerszego gruntu społecznego. Barwa tego utworu miejscami szczerze realistyczna, całość jednak przy pełnym szeregu romantycznych ustępów nie ma nic wspólnego z współczesnym kierunkiem sztuki i literatury. Budowa chroma nieco. Uznaje to sam autor i poprawia a kreśli swą pracę niemal po każdem jej przedstawieniu. A przedstawień tych było już kilka, co na tutejszą publiczność, nielubującą się w tragedyach, jest bardzo wiele. Język w *Maleku* (jedenastozgłoskowy wiersz), cudowny; on też w niemałym stopniu wpływa na powodzenie tragedyi. Szkoda, że po za Kraków sztuka Brzozowskiego pójść nie może...

Prócz „śpiewaka anatolskich lasów“ debiutowały tu jeszcze dwie młode (właściwie: *nowe*) siły na niwie dramatycznej. Pani Zapolska, artystka dramatyczna i nowelistka, niewiasta we Lwowie sławy rozgłośnej, przedstawiła jednoaktowy dramacik p. t. *Pierwszy bal*. Robota dosyć misterna, nie czyni jednak silniejszego wrażenia. P. Lubicz, również artysta dramatyczny, pozazdrościł snać laurów swej koleżance, siadł do stolika i napisał odrazu pięć aktów p. t. *Zapóźno*. Jest to przeróbka z noweli, przeróbka — co się rzadko zdarza — dosyć szczęśliwa, tylko nieco za rozwlekła, a więc nudna. Kończąc sprawozdanie o teatrze, nadmienić muszę, że teka dyrekcyi posiada nowości „oryginalnych“ taką moc, iż niewiem, czy dziesięciu ludzi, systematycznie pracujących, zdoła je odczytać w przeciągu jednego miesiąca. Między temi plewami znajdzie się tam może przecie i ziarno!

Nie wiem atoli, ile go wyda i w jakim gatunku najświeższy posiew Wydziału krajowego, „Macierzy polskiej,“ „Towarzystwa kółek rolniczych“ i p. Alberta Wilczyńskiego. Wspólnemi ich siłami wydany numer okazowy *Niedzieli* zarzeka się t. z. szczepienia nienawiści pomiędzy rozmaitemi warstwami społeczeństwa. Znaczy to, że nie wspomni nigdy o znanej wam już sprawie wietlińskiej (219 morgów lasu za 50 ct.), jak niemniej głębokie zachowa milczenie o ks. Kruszce, wydalonym niedawno z kraju naszego poznańczyku, którego dziedzic Dynowa, p. Trzecieski, denuncyował u starostwa za rzekome knowania socyalistyczne, redukujące się, jak stwierdziły fakty i dowody, do założenia Towarzystwa wstrzemięźliwości (upadek propinacyi!) i Spółki rzemieślniczej dla sprowadzania surowego materyału. Za głośniejsze odezwanie się w tej sprawie *Reforma* krakowska została skonfiskowaną. Eh, niema to, jak w naszym *landzie*!...

Ale jeszcze o *Niedzieli*. Szczególniejszą zwracam zawsze uwagę na pisma ludowe i od galicyjskich począwszy a skończywszy na wschodnio-pruskich, znam ich wartość— pochlebiam sobie — dokładnie. Znam także i lud wiejski z rozmaitych ziemi naszej okolic, z którym obcowałem lat kilkanaście. Wiem też, jak chłop myśli i jak na świat pogląda a przedewszystkiem — *jak mówi*. I przyszedłem do przekonania, że w wydawnictwach ludowych ani taniość, ani też ozdobność najmniejszego nie mają znaczenia, jeżeli język ich nie jest zastosowanym do poziomu wykształcenia czytelników. Z racyi tej wartość *Niedzieli* wypadłoby mi obniżyć znacznie, bo znalazłem w niej już nie odosobnione wyrazy, ale całe zdania zgoła dla ludu wiejskiego niezrozumiałe.

Pojmuję trudność redagowania pisma dla ludu i rozumiem, że żadne wydawnictwo peryodyczne nie staje odrazu uszczytu doskonałości, ale rozwija się zwolna. Dlatego też nie wypowiadam jeszcze stanowczego zdania o *Niedzieli*, żywię bowiem nadzieję, że ona powoli wiele swych braków usunie, chociaż z drugiej strony ani się łudzę nawet, aby program jej mógł być więcej ludowym, demokratycznym. W każdym razie cieszę się, że będziemy mieli o jeden kaganiec oświaty więcej; oba bowiem pisemka ks. Stojałowskiego, *Wieniec* i *Pszczółka*, wychodzić będą i nadal. Rokowania z wydawcą ich rozbiły się, co tylko na korzyść może wyjść kiełkującej dopiero oświacie polskiego ludu w Galicyi.

Kuryer lwowski zyskał wreszcie nabywcę w osobie drukarza tutejszego p. Manieckiego z tą samą redakcyą; *Ziarno* przestało już wychodzić; ten sam los spotkał *Przegląd lwowski*. Był to organ najzaciekłejszych, na szczęście, nielicznych u nas ultramontanów. Redagował go niespokojny duch, ks. Edward Podolski, który w świetniejszych czasach wody z Lourdes tyle tu dokazywał, że nawet pobożny *Szczutek* musiał go mitygować. Veuillotek nasz zawiódł się w swej rachubie, że zdoła skupić około siebie pokaźniejszy zastęp współwyznawców; odstąpił więc półmiesięcznik swój OO. jezuitom, którzy od nowego roku będą go co miesiąc wydawali w Krakowie pod zmienionym tytułem na *Przegląd powszechny*.

Zaczął tu również księgarz Łukaszewicz wydawać co pół miesiąca ilustrowane *Ognisko domowe*, coś w rodzaju ś. p. *Przyjaciela domowego* albo *Biesiady literackiej*.

Na tej wzmiance mógłbym już skończyć rzecz o czasopismach, gdy jednak *Różowe domino* wzywa mnie, abym odwołał nazwanie go *enfant terrible*, muszę jeszcze wspomnieć i o tym najzłośliwszym z najzłośliwszych tygodników naszych, któremu odpowiadam, że zowię go tak a nie inaczej, zdałem sobie najzupełniej sprawę z tego, co czynię. Dla wyjaśnienia dodaję, że *Dominu* chodzi o to, iż zaliczyłem je do jednej z całem galicyjskiem dziennikarstwem rodziny, acz zaznaczyłem już niejednokrotnie, że w łonie jej zajmuje pismo to odrębne stanowisko. Wyróżnia je od innych sympatyczna tendencya postępowa i demokratyczna, razi natomiast sposób wojowania z ludźmi, zmuszający czasami do przypuszczenia, że walczy ono nie tyle z wstrętnemi mu zasadami, ile z niemiłemi osobistościami. A to obniża wartość jego bez wątpienia!

Rewera.

MALARSTWO POLSKIE

Tania kuchnia i świeże ryby. — Daremne marzenia.— Martwa żywotność. — Wystawy z komitetami i Salony.—Szkice Witkiewicza.—*Pod lasem.*

Ile razy wchodzę na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, zawsze doznaję takiego uczucia, jak gdybym się znajdował nie w świątyni, ale w taniej kuchni sztuki, gdzie niczemu dziwić się nie można, nie trzeba, nie wolno, chyba temu, iż pani Marya Lubieńska, zamiast pogańskiego geniusza sztuki o grubych nogach, nie namalowała na oknie w przedsionku zwyczajnego krzyża z napisem: *Res sacra miser.* Wszystko tchnie tu wonią dobroczynności i miłosierdzia. Często nawet zdaje mi się,

że za dziesięć groszy nie obrazy oglądam w galeryi, ale jem w jakimś refektarzu po-bernardyńskim gęstą zupę kartoflaną, w której pływa mnóstwo drobnych i grubych zacierek a mało skwarek, i pomimowoli uśmiecham się do tej błogiej chwili, kiedy ucztowałem w zakładzie p. Krywulta, starającego się przynajmniej o świeże ryby, jeżeli na targu świeżego mięsa dostać nie można. A dodać trzeba, że p. Krywult swoją wystawę w Hotelu Europejskim urządza o własnych tylko siłach, kiedy Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych żyje składkami mas, odwołuje się do ofiarności narodu i artystów, płaci za mieszkanie 150 (!) rs. i od każdego sprzedanego u siebie obrazu pobiera procent zastrzeżony. Mimo to jednak, po dwudziestu latach istnienia, ujrzało się nagle bez dachu nad głową i, jeżeli jakieś dziwne przypadki z biedy go nie wyciągną, tego dachu mieć ono nie będzie. Boć przecie za 30.000 rs. z ofiar publicznych nikt domu nie wystawi, a o 70.000 rs., których jeszcze potrzeba, zaledwie Towarzystwo marzyć może, nawet pod opieką p. Zygm. Noskowskiego, który został ni stąd ni zowąd wezwany na pomoc *Listem otwartym* (*Echo*) przez p. Ehrenfeuchta. Nasz ogół, podobny do każdego innego, nie przyniesie w ofierze tak wielkiego podarku instytucyi, która „w ciągu przeszło 20-tu lat istnienia *nie* złożyła dowodów swojej żywotności, *nie* zyskała uznania ogółu," jak się to komitetowi przy pisaniu odezwy do publiczności zdawało.

Był czas, kiedy ona nie przyjmowała na wystawę obrazów p. Chełmońskiego, a najlepsze miejsca zatrzymywała dla swoich członków. Dziś przyjmuje wszystko, co prawda, ale za to nikt się nie spieszy z przysłaniem prac, gdyż niema nadziei, ażeby komitet kupił coś lepszego do rozlosowania lub chociaż tylko ogłosił, że dany obraz znajduje się w jego murach i jest do sprzedania. Gdyby nie dwa portrety p. Horowitza, dwa obrazy p. Gierymskiego, dwa p. Witkiewicza, jeden p. Szyndlera i jeden p. Wyczółkowskiego, to w sprawozdaniu z wystawy Towarzystwa nie możnaby było przez cały ten rok napisać ani jednego słowa pochwalnego, kiedy tymczasem w Salonie p. Krywulta ciągle widać i nowe prace i nowych ludzi, z którymi liczyć się trzeba. Nie ma tam wprawdzie ani chropowato-pstrych obrazów p. Gersona, ani szaro-drewnianych p. Lessera, ani wylizanych p. Schouppego; ale Salon, to nie Towarzystwo Zachęty: nie potrzebuje utworami członków komitetu przypominać publiczności, że należy być względnym w sądzie dla tych malarzy, którzy po nich przyszli i nie mieli od kogo się nauczyć.

Już to zawsze i wszędzie łatwiej było o ruch w sztuce bez komitetu, aniżeli z komitetem, mającym nawet prawo zakupowania obrazów na własność Towarzystwa lub do rozlosowania pomiędzy członków. Francya posiada wielkich mistrzów, a Salon paryski zakupuje najnudniejsze obrazy. Niemcy wydają coraz to nowych malarzów, a ich galerye narodowe są przytułkami dla miernot patentowanych. To samo i u nas, tylko na mniejszą skalę. Wystawa prywatna ściąga tłumy, a urzędowa świeci pustkami. P. Krywult stara się, jeździ, szuka, kupuje, sprzedaje, zawiązuje stosunki, nie przechwalając się ani „swoją chęcią niesienia pomocy i zachęty artystom," ani „swoją żywotnością," a komitet tymczasem, niby ów geniusz z *Wojny* Grottgera, o którym panna Hajota pisze w ostatnim *Tygodniku Powszechnym*:

> Siadł—i chłodną dłoń przyłożył do skroni;
> Cierpi bóle twórczej myśli poczęcia
> I sam nie wie, co się z niego wyłoni.

Urzędowa powaga chodzić mu do artystów zabrania, a artyści jakoś do niego nie idą. Wprawdzie uczucie litości nie pozwala urągać temu, kto „cierpi bóle, sam nie wiedząc, co się z niego wyłoni," ale że sobie „siadł," kiedy należało się kręcić, więc już jego „bóle" osobiste tracą dla nas urok i pozwalają nam wątpić wraz z tą samą poetką, czy aby

> Gdzie znajdzie te potężne obrazy...
> Jakie czuje roztęsknioną swoją *duszą*,
> I zgaduje, że *gdzieś* przecie być *muszą*,

jeżeli wciąż będzie siedział i to tylko brał, co mu samo do rąk wejdzie.

Dzięki jednak tej opieszałości, czyli—jak chce komitet — „żywotności," członkowie będą musieli rozlosować pomiędzy siebie obrazy, z których zaledwie trzy lub cztery mogłyby figurować na wystawie lub wogóle gdzieindziej, niż — w taniej kuchni.

„Trudno strzydz dyabła, kiedy łysy" — mówi francuskie przysłowie; trudno więc potępiać komitet za zakup utworów lichych, kiedy innych nie było. Ale czyja w tem wina? Czy artystów, którzy nie widzą żadnego interesu zagrzebywania się żywcem w tym przybytku bezdusznym, wyglądającym na przedpogrzebowy dom sztuki, czy też komitet, który wystawy interesującej urządzić nie umie, na zakupowanie dobrych obrazów pieniędzy nie ma, a szkiców, choćby najbardziej artystycznych i zarazem najtańszych, nie chce. Inaczej, jakże wytłomaczyć sobie nieobecność Matejki, Siemiradzkiego, Rodakowskiego, Chełmońskiego, Brandta pomiędzy wystawcami, a bodaj jednej główki, jednego szkicu ich ręki pomiędzy obrazami przez Towarzystwo zakupionymi? Może komitet nie lubi rzeczy niedbale, pospiesznie, od niechcenia wykonanych? Alež w takim razie, cóż tam robi p. Małeckiego krajobraz, którego drzewa są podobne do piór strusich i to w fabryce na Tłomackiem sztucznie naśladowanych? Co tam robi *Podjazd* p. Ryszkiewicza, który maluje ułana maleńkiego, jak lalka, na koniu krzywo narysowanym, walącym się na mur? A p. Owidzkiego *Przy drodze*, czyż to nie pobieżny szkic trzech koni na nogach cienkich, jak zapałki ponadłamywane, dziewczyny na grubych i ziemi bezkolorowej umyślnie, dla uwydatnienia głównego motywu obrazu: stada owiec, leżących gdzieś na boku? A p. Konopackiego barwna akwarela, przedstawiająca *Włoszkę*, która ma tak długie ręce, że mogłaby się drapać w kolana, nie zginając nóg, czyż to nie szkic? A p. Łosika *Powrót z grzybobrania*, czyli biała figurka z prawej strony, granatowa z lewej, a różowa w środku, z których ubrania możnaby zrobić trójkolorową chorągiew, czyż to nie pobieżność rysunku i koloru połączona z lekceważeniem pomysłu Mickiewicza? Lecz dajmy pokój temu wyliczaniu, bo by się jeszcze okazało, iż komitet naprawdę kupił tylko jeden obraz skończony p. Witkiewicza: *Pod lasem*, sądząc, że z zasady nie kupuje szkiców. Jest to utwór niezmiernie oryginalny w pomyśle: wyrazić dramat za pomocą najmniejszej ilości figur i bez podnoszenia grozy natury, która tylko w romansach uśmiecha się radośnie, kiedy my się śmiejemy, płacze, kiedy my płaczemy, zachmurza się, kiedy jesteśmy smutni, burzy się i miota, kiedy naszemi uczuciami wstrząsają burze i cierpienia życia. I przyznać trzeba, że obraz p. Witkiewicza, jakkolwiek nie ma w nim ani jednego z tych umówionych znaków, po których poznajemy dramat w malarstwie, tłomaczy się jasno. Na drodze leży jeździec z koniem. Oba padli, jak piorunem rażeni— od kuli. Nieprzyjaciel bije się pod lasem w kotlinie, gdzie widać niebieski dymek ognia. Po za tem już nic, tylko sosna, spokojnie szumiąca nad dwoma trupami, tylko droga piaszczysta, stratowana kopytami koni, tylko pole, porośnięte jałowcem, tylko las w dali, mieniący się szerokim pasem błękitu. A jednak obraz robi wrażenie. Ta natura spokojna i obojętna na życie i śmierć człowieka w zestawieniu z tymi dwoma trupami, tyłem odwróconymi do widza umyślnie, dla pokazania, że tam gdzieś, w głębi obrazu, coś jeszcze straszniejszego się dzieje, najpierw zastanawia i dziwi, a potem przeraża swoją obojętnością. Cały krajobraz, malowany czyściutko, bardzo starannie, może nawet za bardzo starannie, wygląda nieco sucho. Na koniu farba, położona śmiało, błyszczy się i lśni. Jeździec, rysowany twardo, leży doskonale na ziemi. Obie figury przedstawiają się plastycznie, i jeżeli nie wyrażają dramatu same przez się, bez zestawienia z pięknością obojętną krajobrazu, to tylko dlatego, że trudno lepiej wyrazić myśl za pomocą figur malowanych z tyłu, a p. Witkiewicz nie chciał ich pokazać inaczej, gdyż by mu to bitwę toczącą się w głębi obrazu przeniosło przed obraz i dramat w ramach natury zamieniło na dramat w teatrze.

Po za tymi obrazami członkowie Towarzystwa rozlosują pomiędzy siebie kilkanaście jeszcze innych, ale o nich nic powiedzieć się nie da, chyba to, że komitet sam nie wiedział, co z tymi fantami zrobić, a że tanie, więc nimi niewybrednych członków Towarzystwa postanowił uszczęśliwić. Przecież rzeczy wygranych się nie zwraca.

Antoni Sygietyński.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, grudzień 1883.

(Album podróżne Daniela Chodowieckiego).

Gdybym był bardzo bogatym człowiekiem, to bym każdemu prenumeratorowi *Prawdy* ofiarował na gwiazdkę, oprócz życzeń, po egzemplarzu *Albumu* Daniela Chodowieckiego, który świeżo w Berlinie ogłoszono *). Cóż to za ciekawy, pouczający, a przytem jak artystycznie wykonany zbiorek szkiców podróżnych! Ile tam szczegółów obyczajowych, cywilizacyjnych, a wszystko bliskie, pokrewne, żywo nas obchodzące! Żadne pamiętniki tak nie odmalują zewnętrznej strony życia minionego, jak wierne rysunki spółczesne, szczególnie gdy wprawną ręką są skreślone. Cóżbyśmy dali za to naprzykład, gdyby pan Pasek umiał rysować i, oprócz malowidła słowami, przekazał nam rysowane obrazki typów, domów, ubiorów, zaprzęgów, miast, wsi i krajobrazów! Otóż tutaj w albumie Chodowieckiego, nie z tak dawnej wprawdzie epoki, dostajemy żywem życiem tętniący konterfekt całego świata gdańskiego z drugiej połowy wieku XVIII. Czego nie dopowiedzą pamiętniki i dokumenty pisane, czego wyobraźnia nie tworzy, lub co odbudowuje mylnie albo niedokładnie, to tu oglądamy czarno na białem, jako niby wczoraj spotykane osoby i widoki.

Kto był Chodowiecki, o tem wie zapewne każdy mój czytelnik. Przypomnę mu tylko główne daty i fakty. Urodził się w Gdańsku r. 1726 z ojca polaka, kupca zbożowego, i matki, zniemczonej francuski hugonotki, z domu Ayrer. Po polsku prawdopodobnie zgoła nie lub bardzo mało umiał, jak to widać z własnoręcznych podpisów pod rysunkami, gdzie wyrazy lub nazwiska polskie niemiłosiernie kaleczy. Od matki nauczył się dobrze po francusku a idąc za modą ówczesną, pisywał przeważnie w tym języku; z francuską hugonotką też się ożenił i dzieci jego łączyły się z osobami tegoż pochodzenia, które obecnie tylko w brzmieniu nazwiska ślad zostawiły (jak Dubois-Reymondowie, Barezowie, Bocquetowie itd.); noszący je są dzisiaj czy-

*) *Von Berlin nach Danzig, eine Künstlerfahrt im Jahre 1773* von Daniel Chodowiecki; Facsimile-drucke... nebst kurzen erläuternden Notizen nach seinen eigenen Aufzeichnungen, Berlin, 1883, u Amslera i Ruthardta, format arkuszowy, sto rysunków, tekstu kart 6, cena marek 30.

dowieckiego.

jciec przeznaczał go na kupca i w tym naprzód w Gdańsku, a potem, po śmierca, w Berlinie, od r. 1743, młody Damimo chęci i woli, zajmował się hana. W stolicy pruskiej coraz to wybij rozwijała się w nim skłonność artyzna; uległ jej stanowczo, przeszedłszy ą próbę dorywczego malowania na taerkach i zdejmowania miniatur; zaął nareszcie jako rytownik, miniatuta i malarz; mianowano go członkiem demii sztuk pięknych w r. 1764, umarł jej dyrektor w r. 1801. Pozostawił mną ilość sztychów i rysunków, oraz hę obrazów.

o trzydziestoletnim pobycie w Berlinie, ok po pierwszym rozbiorze Polski, poowił Chodowiecki odwiedzić starą matv Gdańsku. Dzisiaj nie chce się nam rzyć, iż można trzy dziesiątki lat przeić w Berlinie, nie widząc się z matką dziną, mieszkającemi w Gdańsku; lecz lat temu inaczej się działo: podróż kilziesięciomilowa, szczególnie dla ludzi ogatych, przedstawiała się jak dziś rawa zamorska. Długo rozmyślano nad , jak ją odbyć: czy najętą furmanką, kupionym koniem, czy konno, czy wózn; dyliżanse były drogie, ekstrapoczta ępna tylko magnatom. W podróży człok się narażał na tysiączne niebezpieistwa; przed wyjazdem spowiadano się, ządzano testament i dysponowano funzem, jeśli był jaki.

)wumiesięczna wycieczka Chodowiego do Gdańska nie pozostała dla nas śladu: opisał on ją w obszernym, niekowanym dotąd dzienniku, po francu; a co jeszcze ważniejsza, ilustrował omnienia swoje, codzień rysując co tylbardziej go zajęło, naprzód ołówkiem, ami trzymając cugle w zębach, potem ż dnia wieczorem naprowadzając tun lub atramentem. Tym sposobem utwoo się śliczne album ze 108 rysunków, żące obecnie do Akademii sztuk piękh w Berlinie; dziennik zaś jest własią pani doktorowej Rosenbergerowej, wnuczki rysownika, w Kösen pod Merrgiem. Wydawca albumu na okładce nieścił fotogram z nieznanego dotąd poru Chodowieckiego, malowanego przez scha. Twarz poczciwa, myśląca, oczy ne, niewielkie, nos i usta spore, kości iczkowe wydatne: typ polski mniej więwyrazisty, tylko dość rozwinięta dolna zęka zdradza domieszkę krwi niesłoaiskiej. Jako człowiek, miał być pan niel zacnym i prawym, nadzwyczaj praitym i w rodzinie miłym.

'ierwszy rysunek przedstawia pożegnaz rodziną 3 lipca 1773, przed domem. odowiecki, kształtny, wysmukły mężzna, w stroju takim, jak zwykle Gogo rysują, w kapeluszu trójgraniastym, arcapem, przy szpadzie, w długich bui z ostrogami, obejmuje żonę; dwaj kilnastoletni synkowie płaczą, ocierając ściami łzy płynące z pod szlafmyc szczeiemieckich; starsza od nich córeczka atnie patrzy; sługa trzyma konia wierzwego za cugle. Na następnym obrazku odowiecki znalazł już sobie towarzysza lróży w osobie jakiegoś handlarza; koń ysty jest rosły, ma nos garbaty i grube i. Nazajutrz przeprawa przez Odrę pod ienwalde; prom staroświecki, charaktetyczny, jaki dziś jeszcze na Ukrainie łzieć można, bez liny i poręczy, popyny żerdziami przez dwóch drabów; na egu karczemka w stylu wszechpolskim. na trzeci dzień podkowy się psują; Pyrzycach (Pyritz) każe sobie podróżnik ekuć konia. Widzimy tedy kowala w czapfutrzanej i pantoflach, krzątającego się ło kopyta, przy pomocy chłopca; a tymsem, zaciekawiony przybyciem nieznaiej osoby, wychodzi z przeciwległej kanicy jakiś oficer, z miną jowialną, w kaszlafmycy, ze splecionym, jak chiński, warkoczem, przybiera minę znawcy, podpiera się w boki i (jak się dowiadujemy z podpisu) gani wierzchowca pana Chodowieckiego, namawiając go do zamiany na swojego. Ale nasz berlińczyk, nie w ciemię bity, woli pozostać przy swoim bucefale. Tymczasem do miasteczka przez bramę wjeżdża długi pociąg karet, staroświeckich, wysokich, o olbrzymich kołach tylnych; widzimy wyraźnie ostatnią; z tyłu jej, na spiętrzonych tłomokach, siedzi z nogami zwieszonemi pachołek w trójgraniastym kapeluszyku. Tabor ten należy do generała Bellinga, sławnego wodza brunatnych huzarów Fryderyka Wielkiego; jedzie on zapewne do Słupska (Stolpe), gdzie stoi załogą i gdzie za lat kilka umrze.

Następny rysunek przedstawia bardzo ciekawą scenę, żywcem wyjętą ze zwyczajów i warunków zeszłorocznych. Nasz Chodowiecki nocuje w Masewie (Massow) na Pomorzu; duża, niska izba w oberży; wielki, staroświecki piec, jeden fotel starożytnego kształtu i jeden prosty stół stanowią umeblowanie pokoju; pod ścianą na podłodze nasłano trochę słomy; na niej, przykryty płaszczem, w czapce i w butach z ostrogami, z głową na okrągłym tłomoku od siodła, spoczywa nasz rysownik, a szpada wygląda mu z pod kołnierza; siodło i czaprak dla bezpieczeństwa złożone na pobliskim fotelu; o kilka kroków, pod piecem, śpi druga jakaś figura, na jeszcze mniejszej wiązce siana; trzewiki ma postawione przy samej twarzy, ażeby w nocy ktoś mu ich nie przygarnął. Ni stąd ni zowąd po północy wchodzi do izby karczemnej dwóch panów, dość porządnie ubranych; za nimi trzech trębaczy i baba ze świecą i jakimś kuflem; trębacze grają, panowie tańczą menueta. Jak długo? o tem zapewne w rękopisie jest wiadomość; tutaj widzimy tylko kawalerów przy szpadach, z harcapami i w kapeluszach trójgraniastych, z rozstawionemi rękami, tańczących na palcach improwizowanego menueta.

Musiał nazajutrz nasz podróżnik niewyspany puścić się w dalszą drogę. Nie znał widać przysłowia, że kto drogi prostuje, ten w rowie nocuje: zjechał z gościńca na zieloną murawę, żeby koniowi miękcej stąpać było i wsadził go po brzuch do błota. To też w miasteczku Plate musi sam konia obmywać. Rysunek nr. 7 właśnie tę scenę przedstawia; dziedziniec karczemki ze wszystkiemi właściwemi sobie znamionami zajazdu polskiego; po jego błocie przemyka się na paluszkach elegancka modniarka, dążąca z Berlina do Gdańska na jarmark. Potem burza napada jeźdźca naszego w czystem polu; w dalszej podróży dobiera on sobie za towarzyszy dwu chłopów kaszubskich, jadących do Gdańska za kupnem koni; wyborne dwa typy, w stroju narodowym, zupełnie podobnym do dzisiejszego; jeden mały, krępy, wesoły i rozmowny, jedzie obok Chodowieckiego i gawędzi ciągle; drugi wysoki, chudy, pochmurny, z długim nosem, trzyma ręce w kieszeniach, jedzie o kilka kroków z tyłu i milczy; konie obu od brony, szyje wyciągnęły, głowy i uszy pospuszczały; zbliżamy się już do Koszalina (Cöslin). Chodowiecki rysuje w przelocie grupę t. zw. „arme Reisende,“ nader charakterystyczną, pełną życia i prawdy; potem upamiętnia nam dużą oberżę pod Gockowem (Wutzkow), w której popasywał 9 czerwca: bardzo ciekawy rysuneczek, z mnóstwem szczegółów nieocenionej wartości dla historyi życia domowego na Pomorzu. Poznaje się tu z kupcem ze Szląska, również do Gdańska jadącym, i często go nam potem przedstawia, z komicznem nieco zacięciem.

Numer 14 wprowadza nas do izby karczemnej w Gockowie; jeden to z najlepszych obrazków w całym albumie: na ławach, za długim stołem, siedzi znana nam w części kompania: dwóch kaszubów, kupiec szląski z zabawnym swoim woźnicą, siedzącego stole dzieciaka dwuletniego, karmi z ki matka, żona żołnierska; tuż przy Ch wieckim, na stołku drewnianym, op z jowialną miną oberżysta opowiada st ne historye o morderstwach w oko Jeden z dalszych rysunków wyob nam wieś kaszubską pod Gockowem; kobiety, w oryginalnym stroju miejscow ofiarują p. Chodowieckiemu dziecko in koby podrzucone; potem znowu popa stacyi pocztowej w Dumarczach (Dünen se); poczthalter namawia malarza, aby dlował konia swojego na obok stoją „polaka“—tak niemcy konie krwi pols nazywają.

Już blisko do Gdańska. Między Kol (Koliebke) a Oliwą uwagę rysown zwrócił dwór wiejski polski: podaje go nam, choć niestety, nie w całości; drzwiach stoją trzy typowe postacie: w charakterystycznym kapeluszu, w krymce i wąsaty, w długim żupan zawiesistych wąsach podstarości, obaj czapek przed dziedziczką. Dalej rów pod Gdańskiem; nr. 19 tak zwana La fuhr, długa, prosta alea, a pośrodku o parę kilometrów przed miastem, bu szyldwacha pruskiego, od roku tu dop postawiona, jako świadectwo zaboru skiego; potem już samo miasto, 11 czerw widzimy poczwórną z dwoma hajdukan pudłem karetę burmistrza Conradiego, jającą odwach i żołnierze, z doboszem i kimś drabem o długiej pice na czele, skoczyli przed dom kordegardy i salut dygnitarza. Następny, bardzo zajmuj widoczek ukazuje nam p. Chodowieckie umieszczającego konia swojego „en p sion“ u jakiegoś przedmiejskiego kaw rzysty; prawą stroną ulicy idzie szlach polski, w stroju narodowym, z ręk w tył założonemi. Potem (nr. 22) Dl ulica, o bardzo ciekawych ganeczk i wschodkach, które w części do dziś dni przechowały; na prawo zajazd a przed kolosalna postać św. Krzysztofa; ulica na ruchu i życia; Chodowiecki pieszo zm rza ku domowi matki, w którym się dził; dom ten oglądamy w całej okazał na oddzielnym rysunku (nr. 23); nastę dwa ukazują powitanie rysownika z ro ną; pokój matki nader zajmujący pod wzg dem umeblowania i ustawienia spr tów.

Dalsze szkice zawierają pełno ciekaw typów: dwie stare ciotki Chodowieckie panna Justyna i panna Konkordya, zmiernie komiczne figury, wybornie ry wane; mnisi, rajcy, kupcy, księgarze, persztycharz Deusch z żoną (nr. 30) pij kawę; wnętrze stajni pana polskiego, z skonałym typem woźnicy, czyszczącego nia. Jeden z dalszych rysunków wyobr balkon hotelu angielskiego („Englis Haus,“ dziś jeszcze istnieje), a na nim ne towarzystwo; śród niego pierwszy spotykamy księcia prymasa, Gabryela doskiego, oraz brata jego, Franciszka, ka telana mazowieckiego, osobistości dol znane z dziejów kościoła i piśmienniet naszego. Wychodzą oni w dość licznem warzystwie od kupca Grischowa, któr składy, mieszczące się na dole „domu gielskiego“ odwiedzali; prymas, ubrany cywilnemu, z gwiazdą i wstęgą ordero przez ramię; spotykamy go nieraz póź w różnych pozach i ubiorach: raz w liczn towarzystwie, znowu po cywilnemu (n. później w stroju duchownym (61), gdy niaturę jego maluje Chodowiecki; po gdy przyjmuje gości u siebie na obiec (83); wreszcie w negliżu, z miną komicz w pantoflach i szlafroku, gdy czyta wier do siebie napisane, a wręczone mu przez szego rysownika. Prawie zawsze w blis śei prymasa oglądamy tłustą panią O ken, gospodynię jego i, jak się zdaje, fa rytę; typ wyborny opasłej, brzuchatej, mamanej baby, szczególnie dobrze w szkicach uchwycony (nr. 96); i jej mi

turę kazał książę prymas Chodowieckiemu odmalować.

Widocznie malarza naszego rozchwytywano w Gdańsku do zdejmowania portretów miniaturowych, bo oglądamy z dziesięć szkiców, na których wystawia siebie, rysującego różne osoby, między innemi matkę (42), wojewodzinę Przebendowską (56), jej męża (59) i panią strażnikową Czacką (77), z domu Kunegundę Sanguszkównę, literatkę i malarkę, uczenicę wyżej wspomnianego Deischa. Prócz tego, jako studya, spotykamy portrety i szkice kilkudziesięciu osób; większa część ich rysowana z prawdziwem zamiłowaniem, jak to umieją artyści, gdy dla siebie robią; niektóre z widocznym humorem; kilkanaście kobiet, modlących się u Dominikanów; kilku dominikanów, z tych jeden po razy kilka, z potężnym nosem i jowialną miną; dwa razy niejaka panna Chrząszczewska; kilka razy śliczna starościanka Ledochowska (szczególnie wdzięczny rysunek nr. 74), córka Franciszka, późniejszego wojewody czerniechowskiego; on sam, całujący rękę pani Podoskiej, bratowej prymasa (89); strażnik Czacki, prowadzący panią Ledochowską (Chodowiecki uparcie pisze Ledikowska); jakiś dzielny szlachcic, podkręcający wąsa (100) i pełno innych figur, ciekawych strojem i wyrazem twarzy.

Mnóstwo rysów obyczajowych można tu pochwycić. Tak np. obrazek nr. 38 zapoznaje nas z chłopakiem, wynajmującym peruki do wkładania podczas pogrzebu, rozwieszone na nosidle; gdzieindziej znowu przypatrujemy się „taradai“ (60), którą towarzystwo jakieś w deszcz puszcza się za miasto; nr. 83 przedstawia tak zwaną „trekszutę,“ statek spacerowy, bardzo oryginalnej budowy; nr. 70 wyobraża latarnię morską w Wisłoujściu (Weichselmünde). Na wielu rysunkach widzimy sute obiady, zastawę stołów, ubiory sług, dzieci, naczynia, sprzęty; inne znowu dają nam poznać urządzenie ogrodów, kształt i ustawienie mebli w pokojach itd. Bardzo ciekawy jest nr. 43: przedstawia on flisaka polskiego, w czapie futrzanej i znanej kapocie; wielka szkoda, że rysunek uszkodzony, czy też nie w całości podany.

Nie śmiem wyrokować o wartości rysunków Chodowieckiego wogóle; tego tylko pewny jestem, że zawierają one mnóstwo szczegółów archeologicznych, dużo portretów i scen życiem tryskających; znawcy wysoko cenią talent rysownika gdańskiego, szczególnie w kierunku rodzajowym i ilustratorskim. Z albumem podróżnym warto się poznać: możeby pisma nasze obrazkowe powtórzyć zechciały najbliżej nas obchodzące rysunki dla tych czytelników, którzy nie będą mieli sposobności oglądania całego albumu. Wykonanie jego bardzo jest staranne. Tekst zbyt szczupły, za mało nas ze szczegółami obrazków zaznajamia; zapewne wkrótce ujrzymy go w całości; będzie to ciekawy przyczynek do dziejów Gdańska; dowiemy się wtedy, jak i za co wymyśla na prusaków lekarz gdański pan Wolff, który przytem tak groźnie ściśniętą pięścią wywija (86).

Jan Karłowicz.

KONSERWATYWNA GAZETA.

(Z Pisarewa).

Sztrasburskie pasztety są bezwarunkowo rzeczą bardzo smaczną; szampańskie, burgundzkie i reńskie wina napełniają radością nasze serca; abonowana w teatrze loża dostarcza nam beczki estetycznych zachwytów; kareta należących angielskich resorach, zaprzęgnięta w dwa piękne siwki, zamienia każdą przejażdżkę za interesem w najprzyjemniejszy spacer; ale „dobra konserwatywna gazeta,“ wydawana przez zdolnego redaktora-finansistę, jest przyjemniejszą i drogocenniejszą, niż każda z tych ziemskich rozkoszy, a właściwie mówiąc, „dobra konserwatywna gazeta“ nadaje każdej z tych ziemskich rozkoszy ten delikatny smak i wyższy aromat, który podwaja, a nawet potraja ich wartość. „Dobra konserwatywna gazeta“ wlewa życie w każdą z owych rozkoszy, z faktu tworzy ona najświętsze prawo, a posiadacz tych wszystkich rozkoszy dowiaduje się z niej co rano przy filiżance herbaty lub kawy, że on to jest tem małem bóstwem, na ołtarzu którego ludzie prości i ciemni obowiązani są, moralnie obowiązani znosić ze wszystkich końców świata najlepsze produkty przyrody i najpyszniejsze wytwory ludzkiego przemysłu. Otóż zdarza się czasami, że posiadacza tych ziemskich rozkoszy nagle opanują czarne myśli:

— Na co ja, prawdę mówiąc, przydać się mogę; co ja robię? Inni naokoło mnie pracują, starają się, wzruszają, niszczą swoje siły, ponoszą straty, cierpią i walczą — a ja jeden tyle zaledwie robię, że jem, piję, śpię... i opływam w tłuszcz. Komu ja korzyść przynoszę. Komu jest potrzebny mój nędzny byt?!

Przeciwko takim czarnym myślom nie pomogą ani strasburskie pasztety, ani szampańskie wino, ani opera, ale „dobra konserwatywna gazeta“ w pięć minut potrafi rozegnać ciemne chmury tych ponurych dumań.

— Alež pozwól przyjacielu — powiada taka gazeta zamyślonemu posiadaczowi ziemskich rozkoszy — jak mogłeś, nawet na chwilkę, pozwolić twej światłej głowie wysnuć taką dziwną myśl, żeś ty na nic?! Ty — najpotężniejszy z filarów społecznego budynku, najsilniejsza podpora ogółu? Wszak każdy, najkrótszy moment twego życia stanowi dobrodziejstwo. Całe twe życie jest jedną ciągłą służbą dla dobra społeczeństwa. Oto naprzykład, wyciągasz z kieszeni chusteczkę do nosa. Czyż sądzisz może, że to naprawdę tylko chustka do nosa; bezmyślna i bezduszna szmatka?! Nie, przyjacielu, jest to mały pomnik twych mimowolnych starań o dobrobyt młodszych braci, bliźnich! Chusteczkę tę zrobił tkacz; obrąbiła i naznaczyła szwaczka; wyprała i uprasowała praczka. Pomyśl teraz, co by za nieponie z tych ludzi stać się mogli, gdybyś ty nie istniał?! Lub gdybyś był tak twardego serca i tak surowych obyczajów, że zamiast w batystową chustkę, ucierałbyś nos w rękę?!

Ale, chwała Najwyższemu, ty istniejesz, tyś wspaniałomyślny, wzniosłego charakteru człowiek, tak wysoce mądry, tak szlachetnie cywilizowany, że pojmujesz doskonale, o ile batystowa chusteczka wygodniejszą jest, niż ręka.

Kupujesz sobie tuzin batystowych chustek i zadowolnienie spływa do skromnych chat i suteren uczciwych pracowników.

Oto siada tkacz do prostego, ale zdrowego obiadu i mówi wzruszonym głosem: ześlij, Boże, długie lata życia tym dobrym panom, którzy wycierają nosy w batystowe chustki!

Oto szwaczka kupuje sobie zwyczajne, ale mocne trzewiki, i oblewając je gorącemi łzami, szepcze urywanym ze wzruszenia głosem: daj Boże dużo zdrowia temu panu, który dał mi do obrąbienia i znaczenia chustki!

Wspominałeś dopiero co, drogi przyjacielu, że opływasz w tłuszcz. Nie wstydź się tego i nie kłopocz. To nie zwyczajny tłuszcz, to nagroda za twoje zasługi! Jest to tłuszcz, z którego powinieneś być dumnym; jest to rezultat tych gorących modlitw, które unoszą się do stóp tronu stwórcy ze wszystkich chat uczciwych pracowników, karmiących się twemi dobrodziejstwami.

Widzisz, mój poważany, drogi przyjacielu, że oto przekonały cię nasze dowody; jesteś wzruszony i rozczulony: łzy płyną z twych dostojnych oczu, nos twój napełnia się cieczą i chwytasz pospiesznie za malutki pomnik twych starań o dobrobyt młodszych braci!

Ucierasz nos; tak! ucierasz poważnie i spokojnie, lecz czy rozumiesz znaczenie tego faktu? Tym postępkiem pospieszasz na pomoc biednej szwaczce, która w tej chwili potrzebuje lekarstwa dla swego chorego dziecięcia! Jeszcze pięć, sześć tak wspaniałomyślnych postępków, a rzucisz chusteczkę do brudnej bielizny i ściągniesz tem dla siebie nowe rzeki błogosławieństw i nowe pokłady dobroczynnego tłuszczu, wymodlonego ci przez tych pracowitych *protégés*!...

Ale wszystko to, drogi przyjacielu, jest tylko jedną stroną twej ogólno-ludzkiej i sławnej działalności.

Jesteś jeszcze większy i piękniejszy, jeśli na cię spojrzymy z innego punktu.

Ty wyobrażasz sobą ochraniający żywioł naszego społeczeństwa. Otóż tutaj jesteś najlepszym przedstawicielem naszej moralnej samodzielności. Przekupić cię nikt nie może, jesteś bogaty! Zastraszyć cię także niepodobna, ponieważ z człowiekiem, co powierza swój nos batystowym chusteczkom, trzeba obchodzić się grzecznie. Zjadłeś dzisiaj dobry obiad i jutro również chcesz mieć dobry obiad, oczywiście jesteś konserwatystą. Lecz z drugiej strony zgodziłbyś się zjeść jutro jeszcze lepszy obiad, jesteś więc i postępowcem! Cała twoja polityka wyraża się w tej chęci i zgodzie. Twoja polityka jest prostą i jasną, jak wszystko, co wielkie. W wyższej i wszechobejmującej syntezie mieści się wszystko dobre i mądre, co kiedykolwiek wymyśliły jakiekolwiek polityczne szkoły.

Tu znowu, pozwól mi, drogi przyjacielu, wrócić do twego tłuszczu, na któryś się tak bezzasadnie użalał. Nawet i z politycznego punktu widzenia posiada on wysoki i zbawcze znaczenie. Ów tłuszcz dodaje ci powagi, powolności, tej drogocennej niezgrabności, wskutek czego stajesz się najzaufańszym stróżem tradycyi i ustanowionych stosunków; twój tłuszcz nie pozwala ci przejmować się nowemi ideami i modnemi utopiami! Nasz społeczny okręt, wyładowany wieloma centnarami dobroczynnego tłuszczu, płynie dzięki temu zbawczemu balastowi, z dowolną powolnością i ze zwykłym sobie majestatem, zamiast pędzić z rozpuszczonymi żaglami i jeszcze na domiar złego zaczepić gdziekolwiek o podwodne skały!...

A więc, drogi przyjacielu, wiedzże raz na zawsze, że kiedy podnosisz do ust kąsek smacznego i odżywiającego pokarmu, posiadającego własność przemiany w dobroczynny tłuszcz, robisz ojczyźnie małą, ale w swych skutkach jakże wielką, usługę.

Powtarzam, że powinieneś patrzeć na swój tłusty brzuszek z dostojną powagą. Jeśli kiedykolwiek utyjesz do tego stopnia, że cię twój tłuszcz, broń Boże, udusi, to pomnij, że my wszyscy — twoi przyjaciele, my wszyscy — prawdziwi patryoci, my wszyscy — prawdziwi postępowcy, postawimy na twym grobie wspaniały pomnik, a naród cały będzie mówił ze łzami wzruszenia: *dulce et decorum est pro patria mori!*

I pytam teraz, jaka najwonniejsza herbata lub jaka mokka zdoła wytrzymać porównanie z „dobrą konserwatywną gazetą,“ z której codzień posiadacz ziemskich rozkoszy wyczytać może tak wzniosłe patryotyczne myśli?...

Tłom. *Zal.*

LIBERUM VETO.

———

więty bez głowy. — Rozum i poezya w zwyczaju. — ień miłości. — Psychologiczne usprawiedliwienie czeń. — Wspólny węzeł. — Posilny pokarm. — iwna przestroga i list Frańciszki. — Kłótnia w kościele św. Katarzyny. — Rzym i Krym. — Nieprzyń względem niemców i szynka westfalska. — Po czyjej stronie przewyżka. — Powinszowania.

Zwyczaj straciwszy racyę bytu, zachouje często życie i wygląda jak ów święty legendzie, któremu odrąbano głowę, a on zymając ją w ręku, szedł ciągle. Takim viętym jest zwyczaj noworocznych życeń. Upowszechniają się już ofiary pieężne zamiast uciążliwych powinszowań, e nie prędko ludzie zaprzestaną w dniu stycznia wdziewać frak i oblatywać znamych lub zwierzchników. Ile razy jakiś ary pomysł człowieczy niema rozumu, nim go odtrącę, badam jeszcze. czy niema nim poezyi. Choinka, na której palą się vieczki i wiszą pozłacane orzechy, jest iwadłem, ale dziwadłem ujmującem. Pobnie i noworoczne życzenia. Bo czy mu powiem: „bodaj cię Bóg strzegł,“ czy ż: „bodaj cię dyabeł porwał,“ to na jego sy wywrze wpływ jednaki — żaden. Ani og, ani dyabeł, woli mojej nie spełni. iedzą o tem dziś niemal wszyscy, którzy bie winszują zdrowia, szczęścia i pomyślności. A mimo to winszują. Czemu? e pytam biedaków, służących, podwładch, bo ci mają jasny interes lub obowiąk; ale pytam ludzi niezależnych. Odpoem za nich: dogadzają szczerej potrzebie azania swego szacunku lub przyjaźni. st to bardzo... poetyczne.

Odstawiwszy na bok charaktery wyjątwe, których serce tętni dobrem innych, zyznać musimy, że większość ludzi przez 4 dni w roku żyje samolubstwem. W peych odstępach tej męczącej gonitwy za wą, zyskiem lub chlebem odzywa się ęć wyrażenia swej sympatyi komuś, co m jako wzór przyświeca lub jako towasz zacną rękę podaje; więc jednego dnia ucamy powszednie szaty egoizmu, przeramy się w świąteczny strój miłości składamy życzenia. Tyle razy człowiek człowieka jest wilkiem, że wszelkie awy przyjaźni muszą mieć moralną, rzynajmniej poetyczną wartość.

Zresztą u nas objawy te mają większe, gdzieindziej, usprawiedliwienie psyologiczne. Jeżeli w Niemczech katolik indhorst spotka się 1 stycznia z twórcą ulturkampfu“ b. ministrem Falkiem, go ci ludzie mogą sobie życzyć? Obaj są owi, bogaci, państwo ich jest potężne, ęc nie mają pragnień wspólnych. Ponie Gladstone z Northcothem i Taaffe Herbstem. Tymczasem u nas (proszę niejszyć odpowiednio rozmiary przeciików) ja z ks. Jagodzińskim, p. W. ymanowski z Orgelbrandem, p. Kenig . K. Zalewskim (tak mi się zdaje) itd. leźlibyśmy niezawodnie cóś, na co byśdla obu stron się zgodzili, chociażby np. Jagodziński zastrzegł, że gorąco prae, ażeby mnie dyabeł najbliższym pociąm do piekła porwał a jego Bóg strzegł vet od obowiązku wstrzemięźliwszego myślania na *Prawdę* w *Przeglądzie Kakim.* Unosi się po nad nami. albo raczej je się w nas pewna suma marzeń łąych, niezależnych ani od pozytywizmu, od katolicyzmu, ani od tego czy *Tygok Ilustrowany* jest lepszym od *Kłosów uryer Codzienny* od *Warszawskiego*. Jeczłowiek lub ogół zbiedniał i ciężką cą ratuje swój byt a nie mając chleba, niast niego lufy rewolwerowej jeszcze ie do ust nie kładzie, musi karmić się zeniami. Co do nas, gdybyśmy poprzewali na noworocznych, schudlibyśmy grochowe tyczki. Dlatego też właśnie czekamy pierwszego stycznia, lecz każdego dnia, gdy dwu z nas spotka się na ulicy, zaraz sobie czegoś życzymy. Ponieważ i ja to powtarzam często, nawet na tem miejscu (nie zawsze z powodzeniem), więc czytelnikom moim nie składam osobnych powinszowań.

Wyłączę z nich wszakże kilku, w których imieniu p. K. B. przesłał nam z Rygi w nowy rok kartą korespondencyjną następującą przestrogę: „U petersburskich katolików, co się zwą polakami, nauka ich mistrzów od polityki nie idzie w las — niedawno dali tego dowody. A ponieważ główna zasługa w tem, jak zawsze, należy się prasie warszawskiej, która wyśmienicie zna się na ludzkich rasach i starannie pielęgnuje tradycyjny ogień świętych uczuć naszej szlachty, przeto winszujemy jej nowego sukcesu (powodzenia), nie wyłączając od tego i *Prawdy*, która niezaniedbywa dolewać od siebie kropelki oliwy do tego ognia. przy czem tylko życzymy, ażeby kiedykolwiek nie spaliła się w nim sama.“ I to napisano „w imieniu kilku czytelników *Prawdy*!“ Przysięgam, że prawda. Przed kilku laty, otwierając listy nadesłane do redakcyi, znalazłem w jednej kopercie następujący: „Marny fiksatuarze! Isztotę, która powstała z zobopulnej szkłonności, ja tylko mam wychowywać? Niedoczekanie Twoje. Prendzej ty będziesz psy łapał, niż ja sama zjem to, cóś ze mną ugotował. Dostałeś większą garzę, a mnie 5 rubli odmawiasz. Jeżeli mi natychmiast nie przyślesz dwa razy tyle, jutro zaniosę dziecko do cyrkułu albo do konsystoża. *Franciszka.*“ W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś wyzysk, gdyż grzechy „zobopulnej skłonności“ na mojem sumieniu nie ciążyły i z żadną Franciszką nie gotowałem — nic takiego, czego bym później jeść nie chciał; ale spojrzałem na adres: „Wielmożny XX. użędnik akcyzy.“ Dom był podany ten sam, więc roznosiciel listów się omylił. Tem większego zdziwienia doznałem, czytając kartę korespondencyjną p. K. B. z Rygi, że adres był nasz. Ale muszę wyjaśnić prawdopodobne źródło omyłki. W zarządzie petersburskiego kościoła św. Katarzyny oddawna wre gorsząca walka, której echa odbijały się kilkakrotnie na kartach pism warszawskich. Nareszcie przed kilkunastu dniami (dziwny zbieg z awanturą wiedeńską!) w samej świątyni rozegrała się skandaliczna scena. D. 25 grudnia podczas kazania niemieckiego (które na ten dzień z kolei wypadało), wyszedł ze mszą do głównego ołtarza—ksiądz polski. Tamanifestacya oburzyła niemców, zwłaszcza gdy ich kaznodzieja oświadczył, że skutkiem wyraźnej zniewagi musi swą mowę przerwać. Wrzawa z nawy kościelnej przeniosła się do zakrystyi, gdzie spór zakończono kułakami. Otóż temu wszystkiemu winną jest... *Prawda* łącznie z całą prasą warszawską. Franciszko, Franciszko, czego ty odemnie chcesz! Anim nie miał z tobą „zobopólnej skłonności,“ ani nie jestem urzędnikiem akcyzy! Innemi słowy: szanowny panie K. B., pan nigdy nie widziałeś *Prawdy* i nie jesteś tłomaczem żalu nawet „kilku jej czytelników,“ bo pamiętałbyś, że my nie wtrącamy się w wewnętrzne sprawy żadnego wyznania, o ile one nie wychodzą po za granice religijne. Czy 25 grudnia w Petersburgu mówił kazanie ksiądz niemiecki, czy polski, albo czy drugi powinien był zaczekać, aż skończy pierwszy, to dla nas jest zupełnie obojętnem. To rzecz parafian, wiernych, którzy prenumerują *Przegląd katolicki*, nie *Prawdę*. A może wzburzony korespondent wywnioskował naszą winę w tym wypadku z częstych wystąpień przeciw niemcom wogóle? Franciszko, cóż to znaczy, że ja mieszkam w tym samym domu! Jeżeli przyjmiemy taką giętką logikę, to rzeźnik westfalski gotów niedługo oskarżyć nas, że skutkiem „dolewania oliwy do ognia“ przez *Prawdę*, jakiś polski włóczęga ukradł mu szynkę. Gdzie Rzym, a gdzie Krym? A co najważniejsza, po co ten rozdzierający krzyk z powodu głupstwa? Że katolicy polscy naruszyli porządek i popełnili gwałt, całować ich za to nie myślę; ale jeżeli tego rodzaju kłótnia upoważnia niemców do wzywania nieba o pomstę, to cóż krzywdzeni, deptani, tępieni przez nich polacy czynić powinni? Kiedy w Poznaniu skazano na długie więzienie księdza, który przyjął, i kobietę, która ofiarowała obrus do kościoła z wyszyciem jednego wiersza pobożnej pieśni, p. K. B. nie napisał pewnie do *gerichtu* korespondencyjnej karty, nie posłał jej również do *Kölnische Zeitung*, która w sprawozdaniach z Rosyi zamieszcza o nas najbezwstydniejsze kłamstwa. My w szczupłem gronie prasy polskiej mówimy sobie więcej surowej prawdy, niż tysiącogłowe dziennikarstwo niemieckie. My z pewnością nie darowalibyśmy naszym rodakom. gdyby względem innej narodowości dopuszczali się podobnych gwałtów, jak prusacy w Poznańskiem, a która gazeta niemiecka te rodzime niecnoty pod pręgierz stawia? Nie, panie. Temida nie miała nigdy w swych wagach jednej szali, ale zawsze dwie. Gdybyśmy porzucili pracę we wszystkich dziedzinach życia i nie robili nic innego, tylko popełniali zdrożności przeciw niemcom, nie zdążylibyśmy przez półwieku wyrównać im niegodziwością.

Kłamstwo? Dobrze, ale w takim razie, niech p. K. B. przyjmie od nas noworoczne życzenie: oby nas spotkała taka niedola, w jakiej dziś się znajdują najbardziej uciśnieni niemcy.

Jacy my jesteśmy względem siebie okrutni — prawda?

Poseł Prawdy.

———

NA WIDNOKRĘGU.

———

Konkurs artystyczny i konkurs piotrkowski. — Zabiegi złotej młodzieży i straży ogniowej.—Bank ziemski wileński i jego „pożyteczna“ działalność. — Gospodarka Melpomeny w Mińsku i Żytomierzu.—Poranek nowego roku.

Niedawno hodowcy i stróże naszych rodzimych talentów, chcąc sprawić przyjemność swojskiej Melpomenie, ogłosili byli konkurs dramatyczny. Do tej przynęty nie zleciały się orły, lecz wróble, nasza muza musiała pogodzić się z *Bettina* i, włożywszy *Pierścień rodzinny*, czeka lepszych wyników odroczonego turnieju. Upokorzonej Warszawie urąga teraz zwycięski Piotrków. W grodzie trybunalskim ogłoszono też niedawno konkurs, wprawdzie nie na utwory sceniczne, ale na cnoty kucharek i pokojówek. Jakkolwiek nie lubię westalek, jaśniejących tęczowym blaskiem storublówki, to jednak ucieszyłem się, że w Piotrkowie do „nagrody dla dobrych sług“ przedstawiono aż kilkanaście kandydatek.

Ponieważ przy kuciu tego roboczego inwentarza złotemi podkówkami niejedna nadęta żaba nadstawi swoją nogę, więc powiem tutaj, co o tem myślę. Za cnotę sługi część chwały rzeczywiście spłynąć może na chlebodawców, ale nie unośmy się zbyteczną dumą. Wobec tysiącznych pokus, czyhających na uczciwość ciemnej kobiety, wobec trawiącej wszystko rdzy dzisiejszych społeczno-ekonomicznych stosunków, wierna i zacna sługa jest bohaterką. Czterdzieści kilka lat uczciwej pracy u jednej rodziny— to cała epopeja nowoczesna. Powtarzam raz jeszcze: nie wierzę w sztucznie pielęgnowaną moralność, tak jak nie ufam szarlatanom, mającym powrócić kosmetykami krasę młodości tym, co ją utracili; ale nie mogę nie podziwiać żywotnej siły ludu, który dotychczas opiera się jeszcze zgniłej atmosferze miejskiego życia. Wiadomość o konkursie piotrkowskim przywiózł mi pewien złoty młodzieniec, który przybył tu do Warszawy w celu spieniężenia swej kawaler-

skiej swobody. Opowiadanie zakończył smutnem westchnieniem.

— Czarna niewdzięczność—wyszeptał po chwili.

— Czyja, gdzie?

— Jakże można, panie, my, t. j. złota młodzież Piotrkowa, urządzamy co rok tysiące konkursów na cnotę naszych Marysiek i Kasiek, a nikt o tem nie pisze.

— Taak? i jakież są rezultaty?

— Chlubę naszą stanowią pokojówki i niańki. Co do kucharek, to konkurencyę uniemożliwia nam straż ogniowa.

Z odpowiedzi tej przekonałem się, o ile uczciwością sług naszych możemy się chlubić.

Nadwileński korespondent *Gazety polskiej* pokazał mi znowu, o ile mamy prawo szczycić się nieraz naszym patryotyzmem. Jedyną prawie działalnością obywatelską, jaką powołał do życia ekonomiczny upadek kraju zachodniego, jest... przerażający wzrost lichwy. Korespondent nie dziwi się temu wcale, gdyż „jedyna instytucya kredytowa—bank ziemski wileński jest już wszystkim dobrze znany, a pożyteczny swój wpływ zaznaczył przez zrujnowanie wielu posiadaczy ziemskich."

Jakto, panowie, robienie pieniędzy podnieśliście dzisiaj do godności patryotycznego sakramentu? Wszak każdemu, kto słuchać was zechce, opowiadacie, że u was praca na polu dobrobytu klas ziemiańskich jest świętym obowiązkiem. A tymczasem „praktyka dobitnie przekonywa, iż dzięki wysokim procentom, przez banki gruntowe pobieranym, większość dóbr ziemskich znajduje się w stanie olbrzymiego zadłużenia bez wyjścia, a wskutek tego poważna ich część rok rocznie zmienia swoich właścicieli."

Jeżeli „zmiany" owe nie przestraszają waszych kieszeni, to może zaniepokoją serca? Jeżeli „jedynym dla was wybawieniem byłoby towarzystwo kredytowe ziemskie, na wzajemności oparte" — to starajcież się o nie. Czego nie można zrobić odrazu na wielką skalę, to da się czasem uskutecznić stopniowo. Hypoteką waszą na teraz niech będzie obywatelska uczciwość. Na niej oprzyjcie jakieś niewielkie kółko samopomocy, jakieś stowarzyszenie, dla którego sankcyę można byłoby znaleść w kancelaryi rejenta, i miejcie choć raz odwagę położyć na szali patryotyzmu coś więcej nad pięknie brzmiące przysięgi i sentymentalne westchnienia za minioną przeszłością.

Na skrzydłach tych westchnień nie mogliście dotąd dognać i zatrzymać uciekających od was nadniemeńskich lasów. Oskarżyciel wasz z *Gazety polskiej* zarzuca wam opieszałość w wyzyskiwaniu pokładów torfu, który jednak mógłby położyć koniec zagonom legendowej niemiecko - żydowskiej siekiery. Czy słusznym jest ten zarzut, nie wiem. Z wyrokiem wstrzymam się dopóty, aż się dowiem, że ostatnie u was serce — chciałem powiedzieć drzewo — zastąpione zostało rublem żydowskim, albo niemieckim talarem. Czy znajdzie prusak tyle pieniędzy?...

Już taką jest dziś nasza dola, że gdziekolwiek życie się jakieś obudzi — to pewno pod wpływem... sceny teatralnej.

Teatr amatorski, czy też koncert rozbudził omdlewającą energię mińskiego towarzystwa „pomocy naukowej." Bardzo już źle słychać było z ową pomocą. Niedobór w kasie stowarzyszonych dosięgał podobno tysiąca rubli. Gromada b. wychowańców miejscowego gimnazyum, powracając na zimowe wakacye z różnych uniwersytetów, ożywia miasto, budzi obywatelskie instynkty mieszkańców. Otrzymany drogą koncertu zasiłek pieniężny dla studentów i tego i przeszłego roku w poważnych przedstawił się cyfrach.

Z innych powodów, chociaż podobnymi środkami, wskrzesiła Melpomena uśpionych obywateli Żytomierza. Przed paru tygodniami zjawiła się na miejscowej scenie trupa artystów ukraińskich. Zapał w mieście podobno niewysłowiony, a przyczynjego, jak się zdaje, nie trzeba szukać li tylko w wybornej grze aktorów.

Poranek nowego roku, jeżeli wierzyć mamy gazetom, obiecuje lepszą niż dotąd pogodę na widnokręgach naszego wiejskiego życia. Z Jędrzejowskiego donoszą *Gaz. kieleckiej*, iż w stosunkach dworu z chatą widoczna zaczyna kiełkować harmonia. Dowody jej streszczają się w kilku następujących spostrzeżeniach: Przy wyborach gminnych włościanie gorliwie obstają za ziemianami, proponując ich na wójtów i sędziów gminnych. Chętną a nieraz bezinteresowną pomoc chłopów w obrabianiu dworskich gospodarstw spostrzegamy coraz częściej. Troskliwa opieka dworu nad chatą w wypadkach niedoli lub choroby przestaje być rzadkością, nakoniec macierzyńska troskliwość ziemianek w przytulaniu dziewczątek wiejskich i zatrudnianiu ich elementarzem. Wszystkie te zjawiska mają weselszą zapowiadać dobę. Jeżeli nie są one w żadnym związku z nowoczesnym optymizmem prasy, jeżeli ta złota nić zgody obie strony połączy, a żadnej nie skrępuje, to szukajcie dla niej panowie i panie w waszych sercach coraz silniejszego wątku i nie zrywajcie nawet wtedy, gdy pomiędzy was wcisnąć się zapragnie jakiś klin nieproszony.

Maryan Bohusz.

Piotrków. Między ludnością żydowską nie brak znachorów i znachorek. Niedawno z powodu szkodliwego leczenia umarła jedna położnica, obecnie zaś gdy najsławniejsza z lekarek, niejaka Tenenbaum, zwana „szczeciniarką", zaszkodziła niewłaściwą kuracyą swej pacyentce, mąż tej ostatniej tak zbił ją silnie, że w parę godzin umarła. W obec tego trudno skarżyć się na zbytek lekarzy, kiedy jeszcze takie środki i taka zapłata za nie — istnieją.

Białacerkiew. Miejscowa szkoła realna z początkiem szkolnego roku przyszłego zamienioną zostaje na gimnazyum klasyczne.

Latyczew. Nauczyciel dwuklasowej szkoły miejskiej tak silnie uderzył w twarz ucznia, że aż z ucha krew popłynęła. Nie pierwszy to wypadek w tym rodzaju, ale pierwszy dopiero, który wyszedł na jaw.

— W Mohylewie podolskim w domu jednego nauczyciela znaleziono całą fabrykę fałszywych czterdziestówek. Ładni pedagogowie!

Berdyczów. Z niecierpliwością oczekują wszyscy rozstrzygnięcia przez zjazd sędziów pokoju sprawy fabrykanta Szlenkiera z właścicielem miasta o nieprawny pobór 40 rs. za przewożone towary. Idzie o to, czy zarząd ma prawo brać opłatę od przewożonych towarów, czy też tylko od tych, które sprzedają się w mieście. Dla fabrykantów miejscowych i kupców rzecz to niemałej wagi. Szlenkier, który dla uwolnienia się od wygórowanych opłat przeniósł fabrykę za miasto, obecnie zamówił do obrony jednego ze sławniejszych rosyjskich adwokatów p. Plewako, który otrzyma 2000 rs. honoraryum.

Wilno. Z funduszów miejskich ma być zbudowany dom dla obłąkanych, prawdopodobnie wcześniej niż w Warszawie, która na taki zakład od dziesięciu lat czeka i drugie tyle jeszcze czekać będzie.

Jarmolińce. W czasie święta pułkowego konsystujący tu dragoni, zaczęli naprzód pijani bić się między sobą, a wreszcie rzucili się na żydów z szablami i kołami. Sklepy niektóre zostały zburzone a kilku mieszkańców, między nimi i rabin z ran umarło. Okazuje się więc, że projekt *Woschodu*, żądający rozkwaterowania większej części armii rosyjskiej w prowincyach zamieszkałych przez żydów, dla ich obrony, nie na wiele by się przydał. Przy ocenie ruchów zbiorowych nie należy zapominać, że armia rekrutuje się również z ludu i że karność wojskowa ma swoje granice.

Pińsk. Mieszkańcy skarżą się, że z chwilą zaprowadzenia nowych sądów makler i policya odmawiają zaświadczenia dokumentów, notaryusz zaś nie tylko nie rozpoczął czynności, ale dotąd nie przybył wcale. W mieście, prowadzącem znaczny handel, straty z tego powodu dochodzą do bardzo wysokiej sumy.

Z pod Warszawy. Włościanin ze wsi Zielonki, ożeniony powtórnie, wywiózł jakoby swoją dwuletnią córeczkę z pierwszego małżeństwa do Warszawy, dla pomieszczenia jej w ochronie. Z powodu podejrzeń o zabójstwo pociągnięty do śledztwa wyznał, że zakopał swe dziecko żywcem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 2 stycznia.

Cisza świąteczna. — Zdanie ks. Bismarka. — Nowy projekt francuski. — Sensacyjne pogłoski.

Z nastaniem pory świątecznej zawiesza się wszelka działalność polityczna i parlamenty odraczają swe posiedzenia a nawet ministrowie i dyplomaci odpoczywać zwykli. Dopiero przyjęcia noworoczne z obowiązkowemi mowami naczelników rządu rzucą niejakie światło na gotujące się wypadki i dostarczą pokarmu gazetom, które obecnie zadawalać się muszą obliczaniem zeszłorocznego bilansu lub wymyślaniem na gwiazdkę głośno pukających wiadomości. Zdarza się zresztą niekiedy, że szczęśliwy traf właśnie w tej martwej porze przynosi jakąś rozgłośną niespodziankę i tym sposobem wyobraźnię dziennikarską uwolni od wymuszonego tworzenia. Ubiegły wszakże tydzień w podobne wypadki nie był bogaty. Najbardziej zwróciło uwagę bezwątpienia oświadczenie *Nordd. Allg. Zeitung*, streszczające pogląd Bismarka na kwestyę wyborów do sejmu rzeszy. Okazuje się, że kanclerz w zupełności podziela zdanie Puttkamera, wygłoszone przed paru tygodniami, i zamierza rzeczywiście znieść jawne głosowanie, jako „ubliżające godności wyborców!" Natomiast wybory trzech kuryj zastąpione zostaną przez głosowanie powszechne. Jest to nowy krok na drodze do dyktatury, którą żelazny książę wprowadził od lat kilku na miejsce konstytucyi.

W wiedeńskiej Radzie państwa rozpoczną się wkrótce rozprawy nad wnioskiem Herbssta. Podobno koło polskie zamierza głosować za językiem niemieckim, jako jedynie obowiązkowym, z wyłączeniem wszakże z pod tego prawa Galicyi. Moralna wartość tego rodzaju postępowania nie potrzebuje być chyba szczegółowo wyjaśnianą. Rząd spodziewa się namiętnych rozpraw i w razie burzliwych zajść nie cofnie się przed rozwiązaniem Izby.

W zatargu francusko-chińskim Anglia wytrwale występuje ze swem pośrednictwem, za które, jak to już wzmiankowaliśmy poprzednio, obiecano jej sute porękawiczne. Ośmieleni łatwem zwycięztwem francuzi nie bardzo dają ucha radom sąsiadki. Po przewidywanem zdobyciu Bak-Ninhu proponują niektóre gazety zajęcie wysp Formozy lub Hajnanu (na ostatnią właśnie czatują anglicy), aby tym sposobem powetować sobie koszta wojenne. Za pretekst z łatwością posłużyć może dowiedziony jakoby udział w wojnie regularnych wojsk chińskich.

Do sensacyjnych pogłosek zaliczyć należy wiadomość o uznaniu neutralności Rumunii przez Austryę i Niemcy, w celu zupełnego odcięcia Rosyi od Bulgaryi, oraz doniesienie gazety *Italie* o projekcie rządu włoskiego: przywrócenia na tron egipski byłego kedywa Izmaela baszy, który jedynie ocalić ma kraj nadnilowy od grożącej mu katastrofy. Rzeczywiście zwycięski pochód Mahdiego nasuwa poważne obawy, ale czy środek wybrany dla powstrzymania go może być skutecznym? Wątpimy nawet o istnieniu podobnego projektu, na

który rzekomo zgodzić się już miały Anglia i Turcya.

Petersburg. W nocy dnia 28 Grudnia zarządzający wydziałem porządku publicznego w kancelaryi naczelnika miasta, podpułkownik żandarmeryi Sudiejkin został zabity w jednym z domów przy ulicy Gonczarnej. Towarzyszący mu urzędnik śmiertelnie raniony.

CUDZE GŁOSY.

Niedołęstwo galicyjskie. Dzięki staraniom posła Chamca, członka Rady zawiadowczej kolei lwowsko-czerniowieckiej, postanowiła Rada ta przy rozpisywaniu konkursów na dostawę potrzebnych materyałów uwzględniać przedewszystkiem przemysł krajowy. Uchwalono dawać pierwszeństwo przedsiębiorcom swojskim, w tym wypadku nawet, gdyby oferty ich mniej były korzystne, zapewniały jednak rękojmię dobroci materyału... Nie dość na tem! Rada zawiadowcza tejże kolei zwróciła się do lwowskiej Izby handlowo-przemysłowej z wezwaniem zachęcania przemysłowców krajowych do udziału w konkursach. Ale i to nic nie pomogło.

„Ubolewać należy — pisze z tego powodu *Dziennik polski* — że dotychczasowy udział przemysłowców krajowych w rozpisanych konkursach jest nadzwyczaj mały. Weszło wprawdzie parę ofert od przemysłowców galicyjskich, z których jedna została już przyjęta, pomimo że nie była tańsza od analogicznej oferty wiedeńskiego przedsiębiorcy — wszystkiego tego za mało jednak, aby można powiedzieć, że przemysł krajowy ciągnie istotnie zyski z tak ogromnego przedsiębiorstwa, jakiem jest kolej lwowsko-czerniowiecka.

Dla tego też radzibyśmy zachęcić przemysłowców naszych, iżby brali jak najliczniejszy udział w ofertach. Przecież leży to wyłącznie w ich własnym interesie i to nie w interesie chwilowym. Wszakże powinni wiedzieć, że rzecz ta i na przyszłość ma dla nich wielkie znaczenie. Czyja oferta raz otrzymała pierwszeństwo, ten może się spodziewać, że i za najbliższym razem zostanie ona uwzględnioną."

Dziwny to przecie naród, „który do robienia interesów i ciągnięcia z nich niezgorszych korzyści potrzebuje zachęty. Obojętność godna rzeczywiście podziwu!... Ale między ministrami są rodacy!

Charakterystyka chwili obecnej. Dziennik moskiewski *Sowremiennyja Izwiestja*, zaliczany zwykle do zachowawczego obozu, wystąpił z artykułem czarnemi barwami malującym nastrój dzisiejszy życia publicznego. Oto próbka:

„Ostatnie lata polityki wewnętrznej odznaczają się jak gdyby chęcią zatarcia każdego przejawu sił społecznych w najniewinniejszych sferach, w takich nawet, które według wymagań najsurowszego kodeksu stanowią nieodłączne prawo społeczeństwa. Nie można stąd oczekiwać dobrych skutków. Kto sądzi, że gdy gust i pragnienia społeczeństwa skierują się jedynie do wina, kart i kobiet, wtedy jakoby położenie polityczne się ustala, ten przygotowywa rzecz wręcz przeciwną, wychowuje materyał hałastry (*swołocz*)."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły cukrownictwa. Na początek ministeryum dóbr państwa otwiera dwie: jedną w gubernii kijowskiej a drugą na Kaukazie. Pożytek tej ostatniej jest bardzo wątpliwy, bo w całym kraju niema ani jednej cukrowni, gdzieby uczniowie mogli nabyć praktycznych wiadomości.

Postępy germanizacyi. W ciągu 50 lat ludność protestancka w Poznańskiem zwiększyła się z 28% tylko na 32%; zmniejszyła się zaś w odpowiednim stosunku katolicka a szczególnie żydowska, ta ostatnia i bezwzględnie i stosunkowo. Porównywając te cyfry z niewątpliwymi postępami zniemczenia, widzimy, że katolicyzm okazał się nie bardzo skutecznym puklerzem przeciw wynarodowieniu.

Bibliografia polska. Hajota *Poezye*, Warszawa.

— Czesław *Poezye*. Warszawa.

— J. J. Baranowski *Słownik polsko-angielski* Warszawa.

— Józef Kalenbach *Odprawa posłów greckich* Jana Kochanowskiego (jej wzory i geneza). Kraków.

— Dr. Jan Scherr *Historya literatury powszechnej*. Tom II, zeszyt IV. Warszawa, Gebethner.

Uznanie zasługi. Rektor kazańskiego uniwersytetu, p. Bulicz, we wspomnieniu o Stanisławskim (*Godicz. akt. w Imp. Uniw. Kaz.* 1883) sympatycznie odzywa się o nim i jego kolegach: „Była to już druga warstwa polskich przybyszów, która wpłynęła wiele w ogólnem, europejskiem, rozumie się, znaczeniu na współczesną kazańską inteligencyę; pierwszą warstwę stanowili wileńscy filareci." „Polskie pisma, a należy im oddać sprawiedliwość, że umieją cenić wybitniejszych ludzi swej narodowości, jak to widać z artykułów o Stanisławskim, mówią, że zgon jego przyspieszyła niesprawiedliwość, której ofiarą padł syn jego, uczeń gimnazyum. Kto znał Stanisławskiego osobiście, kończy p. Bulicz, dlatego zawsze drogą pozostanie pamięć o tym człowieku, kochającym zarówno naukę, jak i swoją ojczyznę, człowieku uczciwych przekonań i szlachetnego charakteru."

Prasa prowincyonalna. Oprócz *Dziennika łódzkiego* w bieżącym roku zaczną jeszcze wychodzić *Tygodnik łódzki* i *Kuryer radomski*.

Deficyt. Według sprawozdania ministra finansów niedobór w budżecie za rok ubiegły wynosi 49 mil. rs.; ma on być pokryty operacyami Banku państwa.

Kara. Miesięcznik *Russkaja Myśl* otrzymał pierwsze ostrzeżenie za szereg artykułów „niewątpliwie świadczących o szkodliwym kierunku pisma," który szczególniej dobitnie okazał się w artykule p. t. „Listy petersburskie."

Wykup miast. Miasta i miasteczka, należące do właścicieli prywatnych w południowo-zachodnich guberniach, pomiędzy któremi są takie. jak: Berdyczew, Równo, Dubno, Ostróg itd. w liczbie 330 z 500,000 ludności mają być wykupione wkrótce przez rząd.

Nowe szkoły. Miasta w Królestwie otrzymać mają prawo zakładania, oprócz elementarnych, nadto szkół trzyklasowych tz. miejskich. Prawo to dziś przysługuje miastom w Cesarstwie.

Statystyka fabryczna. Robotników fabrycznych, według wiadomości urzędowych, znajduje się w Królestwie 115,968, z tych 22,000 ma tylko czasowe zajęcie. Najwięcej liczy ich gubernia piotrkowska, bo prawie połowę (52,542) i warszawska—34,000 włącznie z miastem.

Cło. *Ruskij Kurjer* oblicza, że wskutek nałożenia cła na worki powrotne, na każdą czetwiert' zboża wypada przy transporcie o 17 i pół kop. więcej rozchodu a wogóle około 7,000,000 za cały wywóz. Nowy ten podatek obciąża przeważnie rolnictwo.

Zbytek weterynarzy. Gazety rosyjskie donoszą, że 150 weterynarzy wykwalifikowanych pozostaje bez zajęcia. Dziwnie to trochę wygląda w kraju, w którym księgosusz, karbunkuł itp. choroby nie ustają nigdy i corocznie tępią setki tysięcy zwierząt domowych.

Zmarli: A. Frączkiewicz, b. profesor wydziału matematycznego w Szkole Głównej, lat 85.

— I. K. Żupański, znany księgarz-nakładca—w Poznaniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pp. Wł. Szuch z Pii rs. 3; *E. Hofman* rs. 15; *W. Józewski* rs. 3; *D. Rogowsski* rs. 20; *R. Grützmacher* rs. 5; *J Krzemiński* rs. 3; *W. Brandszteter* rs. 10; *F. Pajewski* rs. 1; *M. Szymoniak* rs. 2 na pom. M. odebrano.

P. J. Ch. Dramat *Piękna* wyczerpany.

P. Z. Cz. w Petersburgu. Studentom odstępujemy rabat w Warszawie. Na prenumeracie pocztowej nie możemy, gdyż 2 rs. dopłaty nie pokrywa kosztów ekspedycyi.

Poecie Alboż to poezya?

P. W. L. stud. Uniw: Do historyi miast w Polsce polecamy: 1. Roepella *Ueber die Verbreitung des Magdeburger Stadtrechts im Gebiete des alten polnischen Reichs ostwaerts der Weichsel* (Wrocław 1857). 2. Budanowa *O niemieckom prawie w Polszie i Litwie* (Peter. 1868). 3) Pawińskiego *O niemieckom prawie* (Petersb. 1871). 4) Bobrzyńskiego *O założeniu sądów wyższych prawa niem.* (Kraków 1875). 5) Mecherzyńskiego *O magistratach miast polskich* (Kraków 1845). 6) Szujskiego *Kraków aż do początków XV wieku* (*Monumenta medii aevi* t. IV): v) Korzona *Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta* (t. I i II). 8) Surowieckiego *O upadku przemysłu i miast w Polsce* (Warszawa 1810). Monografii, ogarniającej całość rzeczy, nie mamy.

OFIARY.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Z Łukowa od uczennic: Luci Nowackiej, Fajgi i Hany Zalzman, Mani Affanasowicz i Marylki Gruszczyńskiej rs. 2. k. 20; M. Stanisławska z Iliniec rs. 3.

Na wpis dla uczniów i studentów. A. z Odessy rs. 10 dr. Rogowski rs. 28; E. Hoffman rs. 5; R. Grützmacher rs. 3; M. Szymoniak rs. 4; W. Józewski rs. 8; Łysowski rs. 3; F. Pajewski rs. 2; W. Brandszteter rs. 5; J. Krzemiński rs. 3; za pośrednictwem Walerego Józewskiego w Obodówce na Podolu zebrane na wieczorku.

Dla młodej rzeźbiarki. Od Cz. rs. 1; zebrano w Suwałkach rs. 13.

Na kasę Mianowskiego. A. z Odessy rs. 5.

Dla najbiedniejszych. G. Hofman rs. 5; W. Józewski rs. 5; D. Rogowski rs. 3; R. Grützmacher rs. 3; J. Krzemiński rs. 1; W. Brandszteter rs. 2; F. Pajewski rs. 1; H. Szymoniak rs. 1; za pośrednictwem Walerego Józewskiego w Obodówce na Podolu zebrane na wieczorku.

Sprostowanie. W nrze 51 *Prawdy* str. 604 sz. 1 w. 5 od góry czytaj: idea *prawa* europejska; w. 28 czyt. w stosunkach *państwa*, nie *prawa*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Декабря 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.